

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



2

(95) 2019

Rozmowa z Kaspem Pawlikowskim ♦ O poszukiwaniu grobu Kazimierza Nałęcz-Rychłowskiego ♦ O książkach Feliksa Trusiewicza ♦ O Sewerynie Wollochu uratowanym z holokaustu ♦ Wspomnienie o Barbarze Szumskiej ♦ O zamku w Podhorcach ♦ Proza Tadeusza Olszańskiego

Zamiast wstępu

Rok 2019 dla Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Polsce wiąże się z obchodami jubileuszu 30-lecia istnienia. W początkach października rocznicę będzie świętował też Oddział Krakowski TMLiKPW. To ważny moment, by spojrzeć za siebie i ocenić ostatnie lata działalności. Wspomnieć tych, którzy w 1989 roku inicjowali działalność Towarzystwa. Cieszyć się dotychczasowymi osiągnięciami. Ale nade wszystko wyznaczyć „kamienie milowe” na przyszłość. Należy w tym miejscu zapowiedzieć także jesienne Walne Zebranie Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, które będzie miało charakter sprawozdawczo-informacyjny. Odbędą się też wybory uzupełniające do Zarządu. Zanim przyjdziemy na to spotkanie, przypomnijmy sobie cele statutowe naszego towarzystwa i porozmawiajmy o metodach działania, jakimi chcemy je osiągnąć. Już dziś sugeruję podjęcie prac nad zagadnieniami, które staną się planem pracy dla obecnego zarządu do końca kadencji i wytycznymi na przyszłość, dla kolejnego gremium, które wybierać będziemy za rok czy dwa lata podczas walnego zebrania wyborczego. Nieprzypadkowo piszę o tym w kolebce demokracji – w Grecji, apelując, by nie kierować się sympatiami wobec koleżanek i kolegów, a wybierać programy działalności.

Na przedprożu wakacji odeszła z naszego zespołu pani Basia Szumska. Dzięki jej pracy i zaangażowaniu „Cracovia–Leopolis” sprawnie docierała przez lata do Czytelników w całej Polsce i poza granicami kraju. Zawsze pełna wigoru, optymizmu i gotowości do pokonywania wszelkich problemów. Pani Basia do końca uczestniczyła w pracach redakcji. Będzie jej nam brakowało.

Coraz częściej odzywają się, czy to listownie, czy telefonicznie (wszak dziś dużo łatwiej) Czytelnicy. Dzięki tym sygnałom wiemy, że pismo dotarło do Państwa. Cieszymy się, że z uwagą je Państwo czytają. Radują nas wszelkie pochwały. Serdecznie dziękujemy za każde słowo, za wszelkie sugestie dotyczące nowych tematów. A najbardziej cieszą nas pojawiające się teksty. Zapraszamy do współpracy!

Jak wrócić do rzeczywistości, gdy w uszach szum Morza Jońskiego, żar greckiego słońca towarzyszącego wizytom na ateńskim Akropolu, w antycznych teatrach w Epidauros czy Argos, w końcu w słynnych Mykenach?... W tych miejscach przed wiekami rodziła się demokracja, kształtowały kanony piękna w sztuce. Dzisiaj zwiędzamy tylko z mozołem odkopane przez archeologów ruiny. A jednak po całodzienniej wędrówce po ruinach starożytnej Sparty siadam przed komputerem, aby po raz ostatni przed oddaniem do druku przejrzeć ten numer naszego pisma, aby dotarł do Państwa jeszcze we wrześniu.

Obezwładniający szum szafirowego Morza Jońskiego, lazur nieba i kolejne ruiny starożytnej Grecji zamieszkałe tylko przez jazgoczące cykady i bezdomne psy... A po nas co pozostanie?... Serdecznie pozdrawiam Państwa z Aten!

Janusz M. Paluch

Aleksandra Solarewicz

Grób znaleziony po 80 latach

Kiedy rzeszowianie szukali dziennikarskich grobów we Lwowie i zapalali znicze na starych płytach, sprawa miejsca spoczynku Kazimierza Nałęcz-Rychłowskiego wydawała się zamknięta na zawsze. Pochówek w środku zimy 1941. Skromny, ziemny – na zaśnieżonych polach cmentarza Janowskiego. Po wojnie przekopany przez Sowietów. Świadców nie ma, ślady zatarte. W XXI wieku skierowały nas do tego miejsca dwa zdania spisane wierszem przez jego najmłodszego syna. Możliwe są rzeczy niemożliwe.



Fot. Zbigniew Pakosz

W kwietniu 1939 redaktor Rychłowski obchodził 30-lecie pracy dziennikarskiej i literackiej. Odbył się uroczysty odczyt w Polskim Radiu Lwów, który wygłosił red. Jan Zahradnik. W lipcu pisarz senior wstąpił do Syndykatu Dziennikarzy Lwowskich, a w sierpniu wyjechał do ulubionej Maksymówki w Karpatach. We wrześniu wtargnęli Sowietci. Kazimierz Rychłowski dostał propozycję wstąpienia do „licencjonowanego” przez nich związku pisarzy, ale odmówił, choć oznaczało to koniec pracy zawodowej. Przeżycia wojenne nadwątlily jego zdrowie. Rodzina ratowała go dostępnymi naówczas środkami, przyjmował zastrzyki na serce, ale już powoli gasł. Zmarł 11 stycznia 1941 z powodu zapalenia płuc. Rodzina przypuszczała, że pisarz znany z patriotycznych poglądów znajduje się na liście do wywózki na Syberię. Śmierć przerwała te dywagacje.

BEZIMIENNY NA JANOWSKIM

Pogrzeb odbył się, jak wynika z ksiąg cmentarnych, 13 stycznia. Mszę żałobną odprawiono w kościółku św. Anny przy ul. Gródeckiej, który Sowietci zmienili potem w skład mebli. Stamtąd krewni poszli na pobliski – bo Gródecka styka się z Janowską – cmentarz Janowski. Gdyby nie wybuch wojny, byłby to pewnie Łyczaków, przemówienia nad grobem i nekrologi w prasie, a po kilku latach pomnik. Tego dnia jednak krewni ze-

brali się właśnie na Janowskim i pewnie po raz ostatni w takim właśnie gronie. W 1944 roku rodzina Rychłowskich zaczęła powoli opuszczać Lwów. W mieszkaniu wdowa Maria z Golachowskich zostawiła duży, piękny portret sędziego Rychłowskiego z majątku Skibin na Kujawach. W teatrze i dawnych redakcjach zostały rękopisy Kazimierza. I zostały we Lwowie groby.

I WTEDY SIĘ POJAWIŁ „SIERGIEJ IWANOWICZ”

W 2019 roku nikt by już nie trafił do kwatery Kazimierza Rychłowskiego, zwłaszcza że grobu – jak stwierdzili potomkowie – nie było już w latach 70. Nawet wnuk Jerzy (ur. 1934), ostatni świadek pogrzebu. Światło na sprawę rzucał tylko prosty wiersz red. Kazimierza Nałęcz-Rychłowskiego (1919–1998), a konkretnie fragment:

(...)
modląc się
klęczę na mojej ziemi
przed nagrobkiem
z napisem w obcym języku
„Siergiej Iwanowicz”
Gdzie rozdeptane radziecką koparką
Prochy mojego Ojca
Zostały.

(Kazimierz Nałęcz-Rychłowski,
„Na cmentarzu Janowskim we Lwowie”)



Ten właśnie fragment pojawił się we wspomnianym artykule biograficznym o Rychłowskim, wydrukowanym przez „Cracovię–Leopolis” [1/18, s. 6–12]. Gdy autorka czytała wydrukowany tekst, nie wiedziała, że w dalekim Lwowie czyta go niecierpliwie jeszcze ktoś inny. Ktoś, kto zna na Janowskim każdą alejkę i pole. Ktoś, kto długo czekał na te wiadomości.

„SZUKAMY GO W POLU 28”

20 grudnia 2018 r. – jak grom z jasnego nieba – spadła na autorkę wiadomość od



Zbyszka Pakosza z Towarzystwa Miłośników Dziedzictwa Kultury Polskiej „Zabytek” we Lwowie. „(...) W następnym roku chcielibyśmy odnaleźć miejsce pochówku oraz zrobić nagrobek literata, tłumacza Kazimierza Lucjana Nałęcz-Rychłowskiego. Szukamy go na polu nr 28. W archiwum niestety nie zaznaczono numeru grobu (zmarł 10 stycznia 1941 r.). Pani Solarewicz pisze w artykule, że spoczął w nim niejaki „Siergiej Iwanowicz”. Gnębi mnie: czy to symboliczny „Siergiej Iwanowicz” ??? Czy rodzina Rychłowskiego zna dokładne miejsce pochówku??? Prosiłbym o ewentualny mailowy kontakt do kogoś z rodziny Rychłowskiego” – tak pan Zbyszek pisał w mailu do wrocławskiej publicystki i pisarki Anny Fastnacht-Stupnickiej. Hanka natychmiast podała mail do rodziny pisarza. A kiedy prawnuczka Rychłowskiego nawiązała kontakt ze Lwowem, dowiedziała się, że poszukiwania już trwają! I że do celu bliżej, niż by wskazywał wiersz.

KAMIEŃ I DATA, KTÓRE NIE PASUJĄ DO RESZTY

Akcja potoczyła się błyskawicznie. – Tu nie ma żadnego Siergieja Iwanowicza – tłu-



Miejsce pochówku Kazimierza Nałęcz-Rychłowskiego

Legitymacja dziennikarska Kazimierza Rychłowskiego

maczył Zbyszek Pakosz. – Tu leży Siergiej Pietrowicz. Zbyszek przysłał kilka zdjęć. Na jednym widać okropny sowiecki nagrobek, jakie znamy z cmentarzy Armii Czerwonej, opisany zresztą polsko brzmiącym nazwiskiem „Świetlickij”. Wnuczka Rychłowskiego, Irena, poddała genialną myśl: „A może w wierszu Siergiej Iwanowicz pojawił się tylko ze względu na rytm?”. Bo kiedy się przeczyta wiersz Kazimierza Rychłowskiego juniora do końca, to widać, że „Iwanowicz” wpisuje się w rytm, a krótszy „Pietrowicz” już nie. I zgadza się rzecz zasadnicza. W polu 28, pośród grobów z początku stycznia 1941, jest „nagrobek z napisem w obcym języku”. Nagrobek – czyli wiadomo, że w miejscu grobu pisarza pojawiła się płyta. Zbyszek Pakosz był ostrożny. – Pytanie, dlaczego kolejność grobów w rzędzie nie odzwierciedla dat pogrzebów? Czytał, myślał i kierował wzrok w stronę jednego skrawka ziemi. Jest tam nagrobek rodziny Irzykowskich, pochowanych 13 stycznia 1941. Koło niego, wspomniany „Świetlickij” z datą 1962, dalej – znowu groby wojenne. We Wrocławiu wszystkie serca zabiły mocno.

TAK, TO ON

Jerzy Nałęcz-Rychłowski, emerytowany pułkownik lotnictwa WP, wcale nie uważa, że ma genialną pamięć. Pytany przez telefon, odtwarzał z pamięci zimę 1941. Miał wtedy siedem lat. – Szło się od bramy w lewo. Może cztery rzędy... Ta wiadomość z Piły pofrunęła przez Wrocław do Lwowa. Minęło kilka dni w ciszy. 9 lutego Zbyszek Pakosz mógł już obwieścić: „Miejsce pochówku mamy zlokalizowane”. Rzeczywiście tam. Między ocalałym nagrobkiem rodziny Irzykowskich, na którym stoi pochodząca z innego grobu figurka Matki Bożej (bo to niestety dziki śmietnik), a koszmarnym nagrobkiem niejakiego pana Fiedorenki. To tam, któreś powojennej jesieni musiał kłęczeć, modląc się Kazimierz Rychłowski junior. Gdzie „rozdeptane radziecką koparką prochy Ojca zostały”.



FUNDAMENTY JUŻ WYLANE

Towarzystwo Miłośników Dziedzictwa Kultury Polskiej „Zabytek” współpracuje z prof. Ryszardem Tomczykiem i doc. Barbarą Patlewicz ze Szczecina, autorów monografii cmentarza Janowskiego. Za kilka lat ma się ukazać ich książka o innych cmentarzach Lwowa, z suplementem o cmentarzu Janowskim. Znajdzie się w nim na pewno dopisek: „Kazimierz Nałęcz-Rychłowski spoczywa w kwaterze 28”. A obok zdjęcie nowego nagrobka, pod który już zostały wylane fundamenty. Zbyszek Pakosz nie wyklucza, że w kwaterze Irzykowskich pod wierzchnią warstwą ziemi natknie się na resztki oryginalnej tabliczki nagrobnej redaktora Rychłowskiego. Spróbuj ostrożnie przeszukać miejsce. Cuda się przecież zdarzają.

Kolejna kresowa rodzina po prawie 80 latach znów będzie mogła zapalić znicza na grobie swojego przodka. Redaktor naczelny „Cracovii–Leopolis” Janusz Paluch mówi, że to nie pierwsza taka sytuacja. „CL” od dawna pełni rolę skrzynki poszukiwawczej, drogowskazu: – Dla mnie najciekawsze są pytania od ludzi młodych, którzy zreflektowawszy się, iż mają kresowe korzenie, szukają informacji o dziadkach, pradiadkach, miejscowościach, skąd zostali ekspatriowani – opowiada. – Wielokrotnie, na prośbę czytelników, osobiście poszukiwałem kontaktów do osób mieszkających w Krakowie. A tym razem miasto Zawsze Wierne samo upomniało się o jednego ze swoich znakomitych synów.

Aleksandra Solarewicz
– prawnuczka red. Kazimierza
Nałęcz-Rychłowskiego

Z Kasprem Pawlikowskim

rozmawia Janusz M. Paluch

Jest pan autorem bardzo ważnej i interesującej książki wspomnieniowej *Z Medyki. Wspomnienia rodzinne* wydanej w roku ubiegłym przez SIW Znak. Jej fragment udało nam się zamieścić na łamach naszego kwartalnika. Dlaczego musieliśmy na tę książkę tak długo czekać?

Przez prawie siedemdziesiąt lat mieszkałem za granicą. Z Polską miałem kontakt nieczęsty i pośredni. Za czasów PRL-u i później przyjeżdżałem tu czasem na krótko. Moje życie zawodowe i towarzyskie upływało więc głównie w języku francuskim i angielskim. Dopiero gdy powróciłem do kraju w 2007 roku, zacząłem odświeżać swe literackie zainteresowania w języku rodzimym. Duża zasługa w tym mojej żony, która – pracując jako redaktor – jest biegłą w literaturze i dawała mi cenne komentarze. Dzięki niej mogłem się poczuć dość swobodnie w pracy z tekstem. Książka, o której pan wspominał, powstawała już w latach dziewięćdziesiątych dwudziestego wieku, niektóre jej części pisałem po angielsku. Później tłumaczyłem je na polski. Na szczęście polszczyznę zachowałem w całkiem dobrej formie. W końcu to był mój pierwszy język, ojczysty. Poza tym rodzina i polskie tradycje nie pozwoliły mi całkiem go zapomnieć. Nie ukrywam, że dla mnie było to upewniaszące, że potrafiłem po polsku napisać i wydać swe wspomnienia. Wprawdzie niektórzy twierdzą, że moja polszczyzna jest trochę staromodna...

Ale ma przecież swój urok, a w końcu opisuje pan czasy dla współczesnych dość odległe... Jak powstawała ta książka? Czy jest wynikiem kwerend rodzinnych dokumentów, czy opiera się głównie na pańskich wspomnieniach?

To był miły spacer po mojej przeszłości i losach tych, którzy pojawili się w moim życiu. Staralem się przywołać nie tylko wydarzenia z czasów mego dzieciństwa i młodości. Zrobiłem wszystko, by pokazać tamten



Kasper Pawlikowski, fot. Adam Walanus

świat oczami dziecka. To dość trudna sprawa po tylu latach. Gdy człowiek staje się dorosły, nabiera doświadczeń życiowych i trudno mu opisywać przeszłość, nie uwzględniając nabytych później doświadczeń. Kiedy miałem bodaj dziesięć lat, podczas wakacji spędzanych w Kosowie, zetknąłem się z problemami wydawałoby się prozaicznymi – rozplodu i zabijania zwierząt, dla dziecka szokującymi. Jakoś to musiałem skomentować, zapominając, że pisze to człowiek, którego dzieli osiemdziesiąt lat od tamtego czasu.

Mam nadzieję, że te wspomnienia były dla pana tylko literacką rozgrzewką, wstępem do kolejnych książek, literackich czy może tylko wspomnieniowych.

Kiedy dzisiaj patrzę na tę książkę, chciałbym ją napisać od początku, zupełnie inaczej. Ale to już zamknięty rozdział. Inaczej poprawiałbym pewnie jeden tekst do końca życia... Teraz pracuję nad nowym cyklem wspomnień z czasów wojny, II Korpusu. Będzie to rodzaj felietonów opartych na przeżyciach dorosłego człowieka, rozważającego zagadnienia lojalności, wierności, tolerancji, patriotyzmu, rozumienia procesów psychologicznych. To będzie rzecz na innym poziomie niż moje wspomnienia z *Medyki*.

Co ze współczesnością? Pojawia się pan w Polsce po tylu latach, pańskie obserwacje i przeżycia byłyby dla nas bardzo ciekawe...

Nie mam dystansu, nie mogę, nie odważyłbym się pisać o współczesności, która się jeszcze dla mnie nie dokonała. Tamte lata

Beata Obertyńska (z prawej) i Lela Pawlikowska na Zaświeciu. Na ścianie widoczny portret Wandy Monné, pędzla Grottgera (1926)

stanowią zamknięty okres. A moje polskie doświadczenia wciąż trwają, ewoluują. Nie tylko jestem urzeczony Polską XXI wieku i jej rozwojem, ale również moje patrzenie okiem doświadczonego, starego człowieka obraz ten wzbogaca. Zaskakuje mnie bogate życie intelektualne, zainteresowania historią i publicystyką, poczytność. Jednocześnie różnicowanie kulturowe i uświadomienie polityczne między prowincją a metropoliami wydają się znaczne. Za wcześnie jednak, by o tym pisać. Na razie będę się starał dokonać rozliczenia z czasami mej młodości i dojrzałości. To czasy dzieciństwa, II wojny światowej, mojej obecności we Włoszech, Anglii czy Kanadzie. Może zdążę...

Pański kontakt z Polską, która na skutek wojny w 1939 roku trafiła pod okupację niemiecką i rosyjską, urywa się w latach czterdziestych...

W 1942 roku dzięki różnym przedwojennym włoskim kontaktom udało się ojcu wyrwać nas spod okupacji niemieckiej. W tym właśnie miejscu zaczyna się moja nowa książka. Z okupowanej przez Niemców Polski wyjeżdżaliśmy – matka i my, czworo dzieci – pociągiem do Rzymu z przesiadką w Wiedniu, bez większych problemów, niemal jak na wakacje... Nikt z nas nie zdawał sobie sprawy z tego, że już nie zobaczymy Lwowa i że na zawsze opuszczamy znaną nam Polskę. Nie mówiłem jeszcze po włosku, francuski znany od wczesnego dzieciństwa i trochę łaciny były mi bardzo pomocne w nauce włoskiego. W Rzymie chodziłem do gimnazjum polskiego, które zorganizował w 1942 roku Teodor Feliks Domaradzki. W lecie 1943 roku alianci wyładowali na Sycylii. Nie muszę mówić, jak przeżywaliśmy ten fakt w naszym uchodźczym życiu we Włoszech. Dla mnie, kilkunastoletniego подростka, zmiana sytuacji na froncie stała się krytyczna. Nie mogłem wręcz wytrzymać! Tam, na południu Włoch, nasi walczą z Niemcami, a my siedzimy w ławie szkolnej w Rzymie jak gdyby nigdy nic! Uknuliśmy z kolegą Stasiem Janikowskim, synem przedwojennego konsula polskiego w Rzymie, że uciekniemy z domu, żeby dołączyć do polskiego wojska po tamtej wyzwolonej już stronie. Nie pamiętam już



szczegółów, jak wyobrażaliśmy sobie przekroczenie linii frontu... Niósł nas entuzjazm, optymizm i przekonanie, że jakoś to będzie. „Jakoś” miewa przecież wiele opcji (*śmiech*).

Zapakowaliśmy do plecaków niezbędne według nas rzeczy i wymknęliśmy się z naszych domów jeszcze przed świtem. Całe przedsięwzięcie było nader naiwne. Z tego, jak bardzo było to ryzykowne, zdawaliśmy sobie sprawę tylko częściowo i to dodawało nam „szwungu”. Szybko, bo już w Ardei pod Rzymem, gdzie alianci mieli wysunięty przyczółek. Niebawem zostaliśmy zatrzymani przez oddział niemiecki na linii przyfrontowej. Nie było to miłe, ale wciąż mieliśmy uczucie, że sprawa się rozwija i jest postęp w naszym przedsięwzięciu. Zaczęło się od indagacji. Żołnierze w tych jednostkach przyfrontowych byli to młodzi ludzie, nieinstruowani w metodach śledczych i niewdrożeni zbyt silnie w ideologię nazistowską, chłopycy mało co starsi od nas. Jednak dochodzenie, kim jesteśmy i co tu robimy, przeprowadził ich dowódca. I nie odbiegało ono od zwykłych metod, włączając bicie, aby wydobyć z „ofiar” ich sekrety. Udawaliśmy miejscowych, powracających do rodzin poza linią frontu. Zrewidowano nasze ubranie w plecakach, szukając metek producentów. Siódmy pot mnie oblał, gdy uświadomiłem sobie, że jedna kurtka w plecaku miała metkę krawca w Zakopanem. Na szczęście akurat tej nie zauważyli. Za to ich podejrzania wzbudziło wtrącanie



Jan Gwałbert Pawlikowski z wnukami; od lewej stoją: Iwa Pawlikowska, Kasia Woźniakowska, Jacek Woźniakowski, Kasper Pawlikowski, Lula Pawlikowska (ok. 1933)

przez Stasia angielskich słówek w nasze włoskie wypowiedzi. Postawili nas obu pod ścianką domu i kazali nam tam tkwić.

Przyjęliśmy to jako niechybny znak, że nasza patriotyczna misja tu się zakończy. Staś zaczął się po cichu modlić. Potem zdjął okulary potłuczone podczas przesłuchania i użył ich jak lusterka, by podpatrzeć, co się za naszymi plecami dzieje. Po dwóch godzinach zawiedli nas do jednego z przyległych pomieszczeń i wyznaczili nam pracę w kuchni polowej, pod władzą plutonowego z Wehrmachtu. Pojawiła się isierka nadziei, że przeżyjemy. Nosiliśmy wodę z rzeczki, obierali ziemniaki itd. Co było nie mniej pozytywne, to, że przy kuchni było jedzenie, którym także nas nakarmili. Noce dzieliliśmy w bunkrze razem z uzbrojoną załogą. Po kilku dniach przydzielono nas do pomocy w transportach amunicji z magazynów pod Rzymem na front. Podczas jednej z tur udało nam się uciec z transportu. Z nosami na kwintę wróciliśmy do domów. U siebie w domu spodziewałem się awantury. Ale od strachu mocniej przenikała mnie sromota wstydu z powodu nieudanej naszej akcji. Tymczasem ojciec z nieukrywanym wyrzutem powiedział: *Stuchaj, jak coś się zaczyna, to się też i kończy... albo lepiej wcale nie zaczynać*. Nie pozostałem mu dłużny i odpowiedziałem: *Ach, jakby mnie tak rozstrzelali, to byłbyś chyba bardziej zadowolony!* Nie wiem, czy wtedy nie wolałbym usłyszeć od ojca bury...

Na prawdziwą wolność trzeba było czekać jeszcze cały rok. 4 czerwca 1944 Rzym został wyzwolony spod okupacji niemieckiej. Euforia ludności nie miała granic, czego boleśnie doświadczył jeden faszysta powieszony na haku rzeźniczym w odwecie za jego faszystowskie bestialstwo. Tydzień później, oczywiście nie informując o tym rodziców, ponowiłem próbę i zgłosiłem się do polskiej komendy uzupełnień II Korpusu Armii Polskiej gen. Władysława Andersa. Miałem 17 lat i byłem strasznie dumny, że zostałem przyjęty do polskiego wojska.

Wojna nadal trwała, front przesunął się na północ Włoch, a ja odbywałem podstawowe szkolenia wojskowe. Ojciec (tym razem) w obawie, że może stracić syna na froncie, interweniował u gen. Andersa, robiąc mu wyrzuty, że Komisja Poborowa przyjęła do wojska niepełnoletniego. Musiałem wrócić do domu, skończyć szkołę i dopiero wtedy trafiłem do prawdziwego wojska, w którym służyłem do rozwiązania II Korpusu. W Rzymie wśród Polaków wszyscy byli uskrzydleni zwycięstwem nad Niemcami pod Monte Cassino. Polska była daleko, nie mogliśmy do niej wrócić, tymczasem w postaci swoich żołnierzy Polska przyszła do nas! To było coś niezwykłego! Obdarcy, niedożywieni, styрани zesańcy wywiezieni do Rosji i ci z Brygady Strzelców Karpaccich gen. Stanisława Kopańskiego znaleźli się wtedy w Rzymie. Wtedy też z dnia na dzień status naszych uchodźców uległ zmianie. Byliśmy dotych-

czas uchodźcami, ale w chwili wyzwolenia i mojego wstąpienia do wojska stałem się częścią sił, które uwolniły Włochy spod okupacji niemieckiej. Tu muszę oddać honor włoskiemu społeczeństwu, które w czasie wojny miało wobec nas humanitarne i wielce przychylne podejście. Jakkolwiek oficjalnie Włochy stały po przeciwnej stronie wojennej barykady niż Polska, ludność była jednak po naszej stronie, udzielając wszelkiej pomocy, co w warunkach wojennych nie zawsze było łatwe.

Z jednej strony to bardzo dramatyczne czasy, z drugiej był pan świadkiem tworzenia nowego ładu powojennego, spotykał pan ludzi, o których pisał w swej książce *Monte Cassino* Melchior Wańkowicz, a o których nie wolno było w powojennej Polsce wspominać...

Rzeczywiście sporo takich postaci miałem możliwość poznać, z wieloma się zetknąłem. Pułkownik Faliszewski, generałowie Maczek, Anders i Kopański, ks. Cieński – kapelan II Korpusu, inspektor pani Wysłouchowa, wspomniany przez pana Melchiora Wańkowicz. Nasza rodzina była zaprzyjaźniona z Tadeuszem Romerem, ambasadorem rządu polskiego m.in. w Japonii i Rosji, przez którego otrzymywaliśmy w Rzymie cenne informacje o naszych bliskich, a szczególnie o ciotce Beacie Obertyńskiej. Jego żoną była Zofia Wańkowiczówna, siostra pisarza Melchiora.

Wróćmy do czasów pana dzieciństwa... Pańską babcią była młodopolska poetka Maryla Wolska, a matką chrzestną jej córka, również poetka Beata Obertyńska, siostra pańskiej mamy Anieli Pawlikowskiej...

Nazywanej w domu Lelą... Babka Maryla Wolska miała zahamowane instynkty macierzyńskie. Tak samo zresztą jak jej matka, Wanda Monné. Maryla była wychowywana na artystkę, co też miało zapewne niemały wpływ na jej osobowość. Interesowała się głównie literaturą, teatrem i światem kultury, natomiast instynkty macierzyńskie nie mieściły się w jej horyzontach. Dla Leli, najmłodszej córki, która coś tam pacykowała pod okiem Władysława Witwickiego, miała niewiele zrozumienia. Najlepszy kontakt miała z Beatą, która posiadała prawdziwy talent poetycki i miała z matką stosunek koleżeński. Siostry różniły się też charakterami. W ro-

dzinie to Obertyńska przyciągała do siebie wszystkie dzieci, spokrewnione i nie. Wśród nich była Iwa, córka mojego stryja, dzieci Woźniakowskich, trzy Romerówny i oczywiście moje rodzeństwo i ja. Jako jej chrześniak byłem bardzo blisko z nią związany, również dlatego że mieszkając we Lwowie w internacie, często zachodziłem na Zaświecie, gdzie piętro zajmowali moi dziadkowie, a parter ciotka Beata, w rodzinie zwana Dziodzią. Nasza komitywa była bardzo przyjacielska. Można było z nią rozmawiać na wszelkie tematy, o wszystkim. Pamiętam taką rozmowę, podczas której zadałem jej pytanie: *Dlaczego ciocia nie ma dzieci?* Coś tam kręciła w odpowiedzi, że musiałaby mieć męża (była już wtedy w separacji), ale na pewno nie unikała tematów. Jej sytuacja istotnie była skomplikowana. Jej mężem był ziemianin Józef Obertyński, właściciel majątku Odnów. Był koniarzem, fascynatem jeździectwa. Uwielbiał polowania, gospodarowanie, życie na wsi. Nie miał jednak zrozumienia dla spraw rodziny i niewiele pojęcia o zagadnieniach literatury i kultury. Nie mogli mieć dzieci, co być może zaważyło na ich decyzji o rozstaniu. Był to rok 1937. Rozeszli się w bardzo cywilizowany i można powiedzieć polubowny sposób, co potwierdza fakt, że w swoim testamencie Józef Obertyński zapisał żonie swój majątek.



Kasper Pawlikowski z siostrami, Lulią (z lewej) i Dorotą, Rzym (1944)

Kiedyś zauważyłem w gablocie, w której trzymała za szybą książki, dużą kopertę z wykaligrafowanym napisem: „Mój testament, Beata Obertyńska”. No i jak mogłem jej nie zapytać: *Dlaczego ciocia napisała testament?* Spojrzała na mnie z zadumą i odpowiedziała: *Bo niedługo ma być koniec świata. Nie słyszałeś? Lubię pisać testamenty i napisałam już ich kilka.* Nie tak łatwo było się mnie pozbyć. Wdałem się w dyskusję: *Jak będzie koniec świata, to komu testament zostawisz?* Uśmiechnęła się smutno odpowiadając: *A tak na wszelki wypadek...* Niebawem rzeczywiście ten koniec świata przyszedł, ale w innym – wojennym – wymiarze. We wrześniu 1939 roku Lwów zajęli Rosjanie. W 1940 roku Beata Obertyńska trafiła do więzienia, potem na Syberię. Do cywilizacji wróciła z armią gen. Andersa i na zawsze już pozostała w Londynie. Ciocia traktowała dzieci racjonalnie, na ich poziomie. Nie znaczy to, że koniecznie z powagą, gdyż dowcip w rodzinie był w cenie. Zawsze wdawała się z nami w dialog, zawsze odpowiadała na pytania. Starła się dotrzeć do umysłu swego małego rozmówcy. To było u niej coś nadzwyczajnego! Poza tym opowiadała bajki! Cudowne bajki, które wiała „na pniu”! Można było jej słuchać godzinami. Miała niesamowitą fantazję.

Domem pańskiego dzieciństwa była jednak przede wszystkim Medyka.

To było rodzinne miejsce. Medyka była jakby piętnem pokoleń. Był tam duży park, mnóstwo książek do oglądania i czytania. Ukochany pies... Dużo wolności, choć w dość ścisłych ramach. Ale jednocześnie było nudno, bo mieliśmy zakaz bawienia się z miejscowymi dziećmi ze wsi, a w domu ich nie było. Czulem się tam bardzo samotny. Siostry, Lula i Agnieszka, jak to dziewczynki, interesowały się zupełnie innymi sprawami. Dorota, która pojawiła się na świecie w 1937 roku, była jeszcze za mała, by wycisnąć piętno swojej osobowości. Później, kiedy zacząłem edukację, do Medyki przyjeżdżałem na dłuższe lub krótsze wakacje. Wolałem Zakopane, dokąd często jeździliśmy. Było tam zawsze wesoło i gwarno; do naszego domu przyjeżdżała bliższa i dalsza rodzina. Tam życie towarzyskie toczyło się pełną parą. Zawsze ktoś przyjeżdżał, wyjeżdżał, wpadał z wizytą. Poza tym były góry do

odkrywania. A w Medyce duży dom, kilometryrowy staw – i cisza... Z rzadka ktoś tam z gości się pojawiał. A jeśli już byli, to o zainteresowaniach, które jeszcze do mnie nie dochodziły. Z dziadkiem Janem Gwalbertem i starszymi toczyli rozmowy, których tematyka zaczęła mnie interesować dużo później. Chłonałem ją jednak, chociaż nam dzieciom nie wolno było brać w tych rozmowach aktywnego udziału. Jedyne słuchać. W Medyce jedynym przyjacielem był mi pies... (*śmiech*). Mój stryj Jan Gwalbert Henryk Pawlikowski mieszkał w Kniażycach pod Przemyślem, w kluczu medycznym, miał córkę nieco starszą ode mnie i to z nią trzymałem sztamę. Godzinami rozmawialiśmy przez telefon. Ale żeby się spotkać, trzeba było koźmi jechać kilka godzin. To nie to, co dzisiaj, telefony, motocykle, samochody czy komunikacja autobusowa...

Jak pan zapamiętał Zaświecie?

Najpierw były to odwiedziny u dziadków i cioci, a później, kiedy już mieszkałem w internacie we Lwowie, całe soboty i niedziele spędzałem na Zaświeciu. Bardzo lubiłem ten dom, jego zakamarki, zapach, atmosferę. Lwów, jego muzea, ulice poznawałem jako uczeń, wędrując z klasą albo z rodziną. Potem, po wybuchu wojny, wszędzie było mnie pełno. Wtedy poznawałem Lwów od podszewki. W takich czasach chłopakom ciekawym wszystkiego znacznie łatwiej było znaleźć się wszędzie tam, gdzie coś się dzieje, bo kuratela domowa znacznie zelżała.

Jak doszło do tego, że Zaświecie stało się legendą?

Wolscy mieszkali we Lwowie niedaleko Zaświecia, które jeszcze nie było „Zaświeciem”. Mój dziadek, Wacław Wolski, był bardzo zdolnym człowiekiem, wynalazcą i nafciarzem. Jako pierwszy skroplił gazy naftowe, zastosował gaz sprężony do wydobywania ropy naftowej, zastosował hydrauliczną metodę wiercenia i wymyślił wiertniczy taran hydrauliczny. Dorobił się bardzo dużych pieniędzy. Za te pieniądze kupił dużą parcelę na stokach cytadeli. Stał już na niej dom. Wiemy, jak wyglądał przed remontem i rozbudową, bo został uwieczniony przez Marylę Wolską. Tak więc Wolscy zamieszkali na Zaświeciu, które stało się znanym we Lwowie salonem literackim. Maryla była



znaną już wtedy poetką, przyciągała więc do swojego domu kwiat artystycznego Lwowa. Pojawiali się tu m.in. Ostap Ortwin – wybitny krytyk literacki, Edward Porębowicz – romanista, tłumacz i poeta, Jan Kasprowicz – poeta, Stanisław Antoni Mueller – adwokat i powieściopisarz, poeta Józef Ruffer, Władysław Witwicki oraz gwiazda w tym gronie – nazywającym się Planetnikami – Leopold Staff. Gdy Waclaw Wolski po krótkiej chorobie umarł w 1922 roku, kryzys finansowy zachwiał Zaświeciem. Maryla Wolska straciła dom obciążony hipoteką. Wtedy z pomocą przyszedł Michał Pawlikowski, który wraz ze swym ojcem postanowił wziąć na siebie ciężar finansowy hipoteki, by ratować Zaświecie.

Częścią ich umowy było to, że dziadek z żoną Wandą zamieszkali na piętrze Zaświecia, co stanowiło formę spłaty, a Maryla Wolska z rodziną, później także Beata Obertyńska, pozostały na parterze. Za mojej pamięci było to szczęśliwe gniazdo trzech pokoleń. Prawdziwy dom rodzinny.

Ciotka Obertyńska była bardzo skrupulatna i jeszcze w 1939 roku dokładnie zapisała, ile Wolscy spłacili Pawlikowskiemu... W marcu 1939 roku zmarł dziadek Jan Gwalbert.

Rok 1939 to koniec Zaświecia?

Nie od razu. Po inwazji sowieckiej wszyscy sięgnęli z różnych wiejskich majątków do miasta... Rodzina, znajomi, przygodni obcy szukający schronienia. Na Zaświeciu było dużo miejsca. W 1940 roku Rosjanie zaarrestowali ciotkę i jej przyjaciółkę Zofię Bączkowską (Romanowską z domu). Wywieźli je obydwie – ale każdą z osobna – na Syberię. Mieszkanie zostało rozgrabione, jednak sporo pamięątek udało się ukryć lub zdeponować w Ossolineum. Po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej stryj Jaś wszystko, co ocalało, przewiózł do Zakopanego, jedyne pewnego miejsca w tamtym okresie. Ale w 1944 roku, kiedy po raz kolejny wróciła tam władza rosyjska – bezpowrotnie zamknęła się historia Zaświecia i całego polskiego Lwowa. Ciocia z zesłania wróciła wraz z armią Andersa. Spotkaliśmy ją w Rzymie, potem do końca życia mieszkała wraz z moimi rodzicami (po śmierci ojca z samą matką) w Londynie.

Czy po tylu latach pamięta pan atmosferę tego magicznego domu?

Każdy szczegół! Nawet udało mi się sporządzić szczegółowy plan Zaświecia. Jestem ostatnią osobą, która znała i pamięta ten dom w najmniejszych szczegółach. Pamiętam, co i gdzie wisiało, do dziś czuję zapachy różnych zakątków tego domu.

Pańskie najprzyjaźniejsze miejsce w tym domu...

Ciekawe postawił pan pytanie. Ciotka Beata miała po ojcu zmysł inżynierski. Miała różnego rodzaju narzędzia. To nawet w jej bajkach można dostrzec, bo opowiada w nich, jak są skonstruowane i jak działają pewne mechanizmy. Bardzo często, gdy siedywałem u niej w pokoju, urządzaliśmy sobie tak zwaną „pokłapkę”. Czasem w naszych rozmowach pojawiały się wątki, które później znajdowałem w jej bajkach i nowelkach. Jej pokój był na wysokim parterze, z oknem wychodzącym na bramę wjazdową. Przed łóżkiem leżała skóra z białego niedźwiedzia z olbrzymią wypchaną głową. W tym samym pokoju stało biurko, przy którym pracowała. Utwory swoje pisała na maszynie, chcąc ułatwić odbiorcom lekturę swojego pisma, które istotnie u obu sióstr było bardzo trudne do odczytania. Błat biurka miał dwie części. Na jednej leżała szyba, a pod nią kolorowe egzotyczne motyle. Druga zaś była składana. Po uruchomieniu ręcznego mechanizmu na biurku pojawiała się maszyna do pisania. Obok stał duży fotel z takim „uszatym” zagłówkiem. Właśnie w tym pokoju ciotki, który był jej pracownią i jednocześnie sypialnią, czułem się najlepiej.

Dom okolony był bardzo dużym ogrodem z dwoma wejściami: jednym u podnóża stoku, od ul. Dąbcańskich, a drugi pod Cytadelą, od ul. Kaleczej. Tam także lubiłem przesiadywać, kiedy przychodziłem na Zaświecie. Staralem się wówczas wy-



Lela i Michał Pawlikowscy przed dworem
w Medyce (1926)

twórczości. Jednym z nich było dwutomowe wydanie korespondencji Artura Grottgera z jego narzeczoną Wandą Monné, matką Maryli.

Nie rozmawialiśmy tu jeszcze o pana matkę – znaną artystkę Leli Pawlikowskiej...

Napisałem o niej i o jej siostrze wspomnienie *O dwóch siostrach*. Między nimi różnica wieku wynosiła zaledwie 3 lata, ale charaktery ich bardzo się różniły. Matka moja była „niedopieszczona”, jakby zaniedbana emocjonalnie, brak macierzyńskiej miłości odbił się wyraźnie w jej charakterze. Była zasadna. By nie mówić źle o kimś, podnosiła jego/jej cechy pozytywne. Bardzo podobna w tym do swojej matki – Maryli Wolskiej. Była bardzo prawą osobą, bezkompromisową w osądach, choć o wiele mniej w obyciu, w którym okazywała dużo wyrozumienia dla ludzkich słabości. Ciotka natomiast była bardzo życiowa, urobiona w ludzkim zgiełku. Przez jakiś czas po śmierci męża zajmowała się administrowaniem majątku, stykając się z ludźmi różnego pokroju, miała do nich śmiałość. Matka natomiast wyszła za mąż za starszego od siebie o 11 lat Michała Pawlikowskiego. On również był wyznawcą tradycyjnych wartości i sztywnego wychowania, zasadniczy, porywczy i bezkompromisowy. Zachowanie ojca wywoływało między siostrami zatargi. Ciotka Beata starała się nas dzieci zawsze ochraniać przed ojcem – mówiła często do mamy: *Michał tego nie rozumie... Michał jest za ostry...* Matka lojalnie trzymała zawsze stronę ojca. Nie były to problemy, które rozbiły rodzinę, ale takie pęknięcia istniały i dostrzegało się je łatwo. Beata jako starsza siostra i bliska swojej matki okazywała zawsze opiekuńcze uczucia wobec „niedokochanej” młodszej siostry. Wskazywało to, że ojciec również musiał doświadczyć w młodości surowego wychowania. W owych czasach nauczyciele i guwernerzy mieli dużą swobodę w traktowaniu podopiecznych, cudzych dzieci; byli bezkarni, mogli swoim okrucieństwem kształtować charaktery młodych ludzi, zostawiając na nich piętno na całe życie.

Ojcowie zazwyczaj bywają zasadniczy...

I bardzo zajęci. Ojciec na nic nie miał czasu, zajmował się sprawami administra-

obrazić sobie, jak wyglądało tu życie za czasów dzieciństwa poprzedniego pokolenia. Wcięta w ramę ogrodu stała kamienica Dąbczańskich. Wiekowa, przynajmniej tak mi się wydawało, pani „Czuba”, etnografka, była ostatnią z rodziny. Stosunki sąsiedzkie z nią były zażyłe. Rok później przeniosła się na ul. św. Mikołaja między ul. Zyblikiewicza a pl. Fredry.

We Lwowie mieszkałem w internacie fundacji Abrahamowiczów. Był to duży gmach przy ul. Gródeckiej, który stanowił rezydencję dla uczniów chodzących do różnych lwowskich szkół. Nie mogłem mieszkać na Zaświeciu na co dzień, bo bardzo psociłem i babka Wanda Pawlikowska nie dawała sobie ze mną rady... Zresztą taki był wtedy zwyczaj, że dzieci oddawało się do wyspecjalizowanych instytucji. Ale to dla mnie było korzystne, bo jak chłopak przebywa w gronie kolegów, to się „socjalizuje”, a jeśli pozostaje w domu, to robi się z niego „maminsynek”...

Kiedy umarła w 1930 roku pana babka Maryla Wolska – w wieku zaledwie 57 lat – pan miał dopiero trzy latka...

Tak, ale utrwalił mi się jej obraz właśnie siedzącej w dużym fotelu w pokoju ciotki. Była osłonięta taką zwiewną firaną i rozmawiała z ciotką. Natomiast jej niespokojny, prastawiański duch ogarniał nie tylko Zaświecie, które to ona sama ochrzciła tym mianem. W ciągu całego życia natrafiałem na jej publikacje i opracowania na temat jej

cji majątku swojego i rodzeństwa, pasjonowały go zagadnienia społeczne i polityka, był zapalonym archiwistą, pisał wiersze. Dla dzieci nie stało mu już czasu. Ale jeśli była konieczność zajmowania stanowiska w sprawach wychowawczych, był bardzo ostry. Można powiedzieć, że nie miał łaski stanu do dzieci... Kochałem go, ale chyba niezbyt go lubiłem... Staralem się nie wchodzić mu w drogę... Wiedziałem, że robił bardzo ważne rzeczy, był moim ojcem, ale był taki porywczy i apodyktyczny, od razu podnosił głos. A takie zachowanie zrażało mnie do niego.

Ciotka Obertyńska przepisała panu swą wórczą spuściznę. Jakie są jej losy?

Któregoś lata przyjechałem do Londynu, gdzie mieszkaly obie siostry. Była już w podeszłym wieku, rozmawialiśmy o jej twórczości i publikacjach. I w pewnej chwili, jakby długo przemyślaną decyzję, powiedziała: *Ja cię w to ubiorę... Jest mi bardzo przykro, że cię tym obciążam, na ciebie zapisałam całą swoją spuściznę twórczą...* Kiedy umarła w Londynie w 1980 r., okazało się, istotnie, że prawa autorskie jej twórczości literackiej zostały zapisane mi w testamencie. By spuścizna ta nie została roztrwoniona w Wielkiej Brytanii, całe jej archiwum zabrałem do Kanady, gdzie podówczas mieszkalem. Aby udostępnić ten dobytek polskiemu audytorium, zaprosilem prof. Wojciecha Ligęzę, by przyjechał do mnie i opracował archiwum Beaty Obertyńskiej. Przez kilka miesięcy studiował ten obszerny materiał. Efektem jego pracy było zinventaryzowanie teczek, a także kilka kolejnych wydań utworów ciotki, wśród nich *Grudki kadzidla*, *Oamô*, *Skrząca libella* i inne. Kiedy przeniosłem się do Krakowa, przewiozłem całe archiwum do Polski, gdzie ofiarowałem je Bibliotece Jagiellońskiej, z wyjątkiem prywatnej korespondencji. Dzięki temu do dziś ukazują się publikacje jej autorstwa. Miło mi pomyśleć, że wywiązałem się z powierzonej mi misji.

Co się dzieje z dorobkiem artystycznym pana mamy?

Nie będę ukrywał, że jest to największa moja bolączka. Mama do II wojny światowej malowała to, na co miała ochotę. W czasie wojny natomiast jej prace, głównie portrety, były źródłem utrzymania całej rodziny.

We Włoszech portretowała się u niej arystokracja. Po wojnie rodzice przenieśli się do Wielkiej Brytanii. Matka i tu musiała się dać poznać i niejako zaczynać od nowa. Zajęło jej kilka lat, nim i tam wyrobiła sobie renomę. Miała dwie publiczne wystawy, ale większość jej prac to portrety pozostające w prywatnych rękach. Zachowały się jedynie ich fotografie, których zapewne nigdy nie uda się publicznie zaprezentować. Ona sama jednak największą wagę przywiązywała do prac, które nie miały na celu zdobywania środków do życia. Najbardziej ceniła swoje szkicowniki. Pani Marta Trojanowska z Muzeum Narodowego w Przemyślu, która doktoryzowała się na twórczości malarskiej Leli Pawlikowskiej, przygotowuje teraz książkę na temat jej twórczości. Z kolei ja, pragnąc, by jej pozostałe prace stały się dostępne polskiej publiczności, ofiarowałem je Muzeum Narodowemu w Krakowie. Niestety żaden z jej obrazów nie znalazł się w stałej ekspozycji, wszystkie tkwią w lochach archiwalnych. Wielki to dla rodziny zawód. Do dziś obrazy mamy były wystawione publicznie trzy razy, nie licząc dwutygodniowej prezentacji w Sukiennicach parę lat temu.

Dlaczego po tylu latach zdecydował się pan wrócić do kraju?

Zawsze miałem świadomość przynależności do kultury polskiej, mimo że prawie całe życie mieszkalem za granicą. Pokolenia mojej rodziny zapisały się godnie w historii polskiej kultury, co oczywiście miało wpływ na moje lojalności. Rodzice w czasie wojny i zaraz po niej mieszkali za granicą i nasz kontakt z nimi był ścisły. Dzięki temu zachowałem na obczyźnie mój polski język, jakkolwiek nieco anachroniczny. Wydaje mi się jednak, że od czasu przyjazdu do Polski znacznie się polepszył. W mojej pracy zawodowej dużo podróżowałem po świecie, zajmując się analizowaniem systemów szkolnictwa. Od czasu do czasu pojawiałem się w Polsce, jednak nigdy nie myślałem, by tu powrócić na stałe. To się zmieniło, gdy poznałem moją obecną małżonkę. Było to najważniejszą przyczyną mojego powrotu do kraju. W Krakowie odnalazłem rodzinne i przyjacielskie kontakty, a także liczne ślady, którymi chadzali niegdyś moi przodkowie.

Serdecznie dziękuję panu za rozmowę.

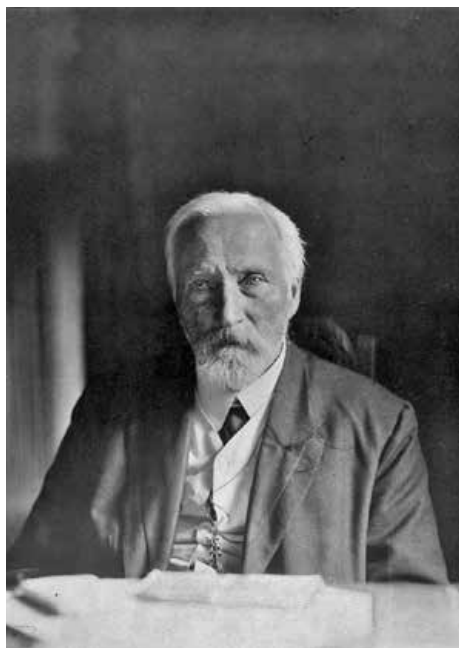
Paweł Brzegowy

BENEDYKT DYBOWSKI JAKO SPOŁECZNIK

Pryncypialnym zadaniem rzetelnego naukowca jest dotarcie do prawdy.

I chociaż nie każdemu dane jest ją poznać, trud ten, jakże mozolny, a przecież nie zawsze uwieńczony sukcesem, niezależnie od epoki podejmują na całym świecie nieustannie kolejne pokolenia uczonych. Wyjątkowym poszukiwaczem prawdy w naukach biologicznych był Benedykt Dybowski (1833–1930), jeden z najwybitniejszych zoologów drugiej połowy XIX w. i pierwszych trzech dekad ubiegłego stulecia, wieloletni dyrektor Instytutu zoologicznego w c.k. Uniwersytecie im. Cesarza Franciszka I we Lwowie. Tak jak namiętnie i konsekwentnie ten naturalista krzewił w kierunkach przyrodniczych darwinizm, tak ochoczo i zawzięcie realizował plan moralnej przemiany ludzkości udręczonej wieloma zgubnymi przypadłościami, wśród których za najbardziej niebezpieczną uznawał chorobę alkoholową. Przekonanie, jakoby napoje alkoholowe z umiarem stosowane wykazywały działanie prozdrowotne lub higieniczne, przyjmował za szkodliwy, lecz mocno jednak w umysłach mieszkańców Galicji zakorzeniony przesąd. Autentycznym wrogiem alkoholu został Dybowski będąc studentem Uniwersytetu w Dorpacie, ale jego niechęć do trunków nazywanych przezeń wysokowymi zaczęła kształtować się wcześniej. Negatywnie zaopiniowawszy tzw. „picie umiarkowane”, zaczął z końcem lat 50. XIX w. propagować abstynencję całkowitą, zakładając kółko niepijących. Nie brakowało osób pragnących przekonać Dybowskiego, że odrobina wódki, wina czy piwa była nie tyle wskazana, co konieczna w przewyciężaniu niełatwej codziennej egzystencji. Nakłaniani do picia różnymi sposobami wymawiał się, przykładowo poprzez symulowanie problemów z sercem, stosowanie zaś takiego kłamstwa uważał za usprawiedliwione.

Interesująco prezentuje się studium Dybowskiego z 1902 r. wydane nakładem dziennika informacyjno-politycznego „Kurier Lwowski”. Podzieliwszy nałóg pijaństwa na stały i okolicznościowy, a ten na umiarkowa-



Benedykt Dybowski na fotografii z około 1910 r.

ny i nieumiarkowany, stwierdził, że za przyzwoleniem Magistratu lwowskiego z początkiem XX w. w co czwartej kamienicy w śródmieściu sprzedawano napoje alkoholowe, które pod postacią araków, piw, rumu, wina i in. obecne były również w niemal każdej restauracji, sklepie kolonialnym czy jadłodajni. Według przedstawionej statystyki, ze względu na wyznanie, w skali roku najwięcej alkoholu wypijali chrześcijanie, a biorąc pod uwagę płeć wyraźnie dominowali mężczyźni, lubujący się szczególnie w przesiąkniętym dymem papierosowym i potem atmosferze piwiarni i szynków. Dybowski – wyborny obserwator lwowskiej kultury życia codziennego – zauważył, że alkohol był nieodzownym elementem spotkań towarzyskich nie tylko obywateli pospolitych, ale także arystokracji czy środowiska naukowego. Wykazując dbałość o prawidłowy rozwój dzieci – głównie chorowitych, skąpiono im herbaty, przyzwalając na kosztowanie wina i piwa. Na szeroką skalę rozpowszechniło się pijaństwo wśród studentów, kolejarzy, tramwajarzy,

dorożkarzy, rzemieślników, robotników, jak również w wojsku, które zamiast hartować prawe i niezłomne charaktery, w opinii autora stanowiło pierwszorzędną szkołę demoralizacji, podobnie jak parafialne i klasztorne piwnice, co stwierdził naocznie goszcząc na jednej z lwowskich plebanii wyposażonej w imponującą kolekcję win. Nawołując do likwidowania piwnic w klasztorach, parafiach i biskupstwach, w monografii zaproponował, aby zgromadzone trunki wyprzedać za granicę, a uzyskanymi środkami finansowymi wesprzeć szkoły ludowe. Wszakże w ówczesnej Europie istniały miasta znacznie bardziej rozpite niż Lwów, jak chociażby Monachium, gdzie rocznie jedna osoba wypijać miała 508 l piwa, czy Norymberga, gdzie ilość ta wynosiła 853 l.

Co prawda słabość do alkoholu wykazywały także niektóre zwierzęta: przedstawiciele pszczołowatych, motyle, muchy, gęsi, słonie, niedźwiedzie, psy i małpy, jednak żadne z tych stworzeń nie mogło równać się z pijanym człowiekiem, zatracającym wówczas resztki elementarnej przyzwoitości, co zauważył Dybowski oglądając studentów uniwersytetów pruskich pożywiających się padliną czy, jeżeli wierzyć ich relacji, konsumujących mięso ludzkie podczas zajęć w prosektorium. Ludy pierwotne, jak znani autorowi wolni od wielu przywar cywilizowanego świata tubylcy syberyjscy, skłonni byli wypracowany w ciągu roku zysk oddać za butelkę spirytusu, pewien kamczacki felczer zaś tylko za umoczenie palca w kieliszku odwdzięczał się płacąc cennymi skórami gronostajów. Nie miał autor najmniejszej wątpliwości (z wykształcenia będąc medykiem), że alkohol pod każdą postacią był trucizną, możliwą do podania tylko przez lekarza specjalistę, przykładowo jako środka uśmierzającego stany bólowe powodowane nieuleczalną chorobą. Uwrażliwiony na ludzką krzywdę występował w obronie ofiar alkoholików, rekrutujących się najczęściej z ich najbliższego otoczenia, podkreślając, że oprócz przemocy prowadziło pijaństwo do rozmaitych form przestępczości, samobójstw oraz zachowań niemoralnych. Społeczeństwo niemające dostępu do alkoholu przedstawiało wyższą klasę rodzaju ludzkiego, o czym przekonał się osobiście przebywając jako zesłaniec-badacz w rozmaitych zakątkach krainy syberyjskiej, których miesz-

kańcy nie znali złodziejstwa, rozbójnictwa czy chorób psychicznych.

Drugim scharakteryzowanym przez lwowskiego uczonego nieszczęściem ludzkości było towarzyszące pijaństwu karciarstwo, uprawiane w nieskrępowany sposób na dziedzińcu uniwersyteckim, przed kościołem św. Mikołaja, pod ogrodzeniem Zakładu Narodowego im. Ossolińskich lub bardziej zawołowany – w Kole Literackim. Sprzedawcy rynkowi, dorożkarze, stróże kamienic, przedstawiciele wyższej sfery i wielu innych karcianych amatorów byli, w przekonaniu Dybowskiego, niewolnikami hazardowego nałogu, którego istotę stanowiła atawistyczna żądza do zabierania cudzej własności i „okradania siebie w sposób tak zwany przywoity”. W przedstawionym wywodzie podał autor kilka przynajmniej twierdzeń mogących stanowić zaczyn głębszej refleksji. Przykładowo, czy wszystkie społeczeństwa cywilizowane można przyjąć za alkoholizowane? W opinii Dybowskiego osoby pijące alkohol i grające w karty automatycznie należało pozbawiać prawa do sprawowania mandatów publicznych. W recenzowanej książce autor, podając wiele faktów, w tym również pochodzących z autopsji, zachowania niemoralne uwypuklił we wszystkich galicyjskich stanach społecznych, bez względu na pozycję zawodową, orientację religijną czy narodowość.

W wyznawanym światopoglądzie przyrodnik konsekwentnie domagał się uznania wiedzy za jedyną prawdę, porzucenia wiary w zabobony oraz wprowadzenia religii ponadwyznaniowej i języka międzynarodowego ze wskazaniem na esperanto. W artykułach prasowych wielokrotnie podejmował tematy społeczne skupiając się m.in. na zagrożeniach powodowanych przez alkoholizm, uznawany przezeń za największą plagę ludzkości, z którą walczyło powołane z jego inicjatywy Stowarzyszenie Wstrzemięźliwości „Eleuteria”. W przekonaniu wielkiego uczonego upowszechnienie abstynencji w znacznym stopniu warunkowało zdrowie fizyczne i psychiczne człowieka, niszczone dodatkowo przez rozwiązłość seksualną, nienawiść, złodziejstwo, hazard, teatromanię czy fanatyzm religijny i narodowy. Obywateli galicyjskich zachęcał Dybowski do zachowania trzeźwości, moralności i umiłowania wiedzy stanowiącej przewodniczkę istot my-



ślących. Wytworzenie wielkiej rodziny ludzkiej, opartej na miłości i braterstwie, wyzbytej uprzedzeń rasowych i narodowościowych, uczynił życiową misją, którą konsekwentnie, niezrażony atakami wielu środowisk, realizował do śmierci.

Książka napisana jest językiem przystępnym i pomimo upływu czasu w kontekście zasygnalizowanych problemów nie straciła na ważności. Niektóre z postawionych hipotez, np. o dziedzicznym charakterze alkoholizmu, zostały potwierdzone przez późniejsze badania naukowe. Autor, żywiąc nadzieję graniczącą z pewnością, że przyszłe pokolenia rodaków uwolnią się od nałogu pijaństwa, jako wizjoner okazał się prognozerem utopistą. Według raportu Ministerstwa Zdrowia we współczesnej Polsce od 600 do 700 tys. osób dotkniętych jest chorobą alkoholową, a statystyczny Polak rocznie przyjmuje ok. 10 l alkoholu. Takim stanem rzeczy Dybowski byłby zapewne zasmucony. Inną zaletą monografii jest rozprawienie się z mitem Galicji, do którego w 2014 r. nawiązała wystawa krakowskiego Międzynarodowego Centrum Kultury.

Uznawana za utopijną, wyśmiewana i wzbudzająca rozmaite emocje, przywołana w recenzowanej monografii idea B. Dybowskiego – człowieka bezinteresownie działającego dla dobra ludzkości, jest nie tylko godna przypomnienia, ale i przez wzgląd na ponadczasowy charakter i aktualność zasługuje na pochwałę.

Beata Bednarz

Był taki kraj...

Na dalekich wschodnich rubieżach II Rzeczypospolitej, u styku powiatów kostopolskiego i sarnieńskiego, przy granicy z Rosją sowiecką, wśród lasów, pól i moczarów leżały wsie ukraińskie, a obok nich kolonie polskie. I chociaż Polacy stanowili tam dużą mniejszość etniczną, to jednak swoją kreatywnością cywilizacyjnie rozwijali ten kraj. Była to ziemia niespokojna i burzliwa. Pomimo wielu dziejowych burz, zwłaszcza skierowanych przeciw Polsce, sadyby polskie przetrwały tam jak szańce obronne, jak świadectwa naszych praw do ziemi. Dopiero druga wojna światowa i ludobójstwo ukraińskie stały z powierzchni wszystkie polskie osiedla. [...] moje polskie osiedle Obórki zostało w całości wymordowane przez szuchmanów za udzielanie pomocy Żydom. Stało się to w listopadzie 1942 roku na Wołyniu. Wówczas jedynie mnie udało się cudem ocalić życie.

(Feliks Trusiewicz, *Nad Słuczą*, Wrocław 2019, s. 15 i 206)

Nad Słuczą to czwarty, po *Duszohubce*, *Hawryłce* i *Medalioniku*, cenny utwór prozatorski, zrodzony z osobistych doświadczeń i wspomnień Feliksa Trusiewicza. Tą książką autor po raz kolejny powraca do krainy dzieciństwa i młodości, jaką był dla niego leżący w dorzeczach Styru i Horynia północny Wołyń, zwany także Polesiem Wołyńskim. Przed drugą wojną światową była to ziemia zamieszkała przez różne nacje i stany, pełna rozległych lasów, niedostępnych moczarów, bagnistych łąk, rozlewisk rzecznych, borów i kniei liściastych; kraina targana burzliwymi wypadkami historii. Nie bez powodu symbolem tej ziemi uczynił autor w swojej pierwszej i znakomitej książce „duszohubkę” – prymitywnie wykonaną, chybotliwą i łatwo wywrotną łódkę, której używali tamtejsi rybacy.

Ciche ustronie Polesia Wołyńskiego i harmonijne współzycie międzyetniczne

Feliks Trusiewicz (zdjęcie z archiwum rodzinnego pisarza)

brutalnie zburzył wielki gwałt – druga wojna światowa. Następuje okrutna okupacja sowiecka, a po niej niemiecka, niosąca terror wobec ludności żydowskiej i jej zagładę, a także rzeź ludności polskiej, dokonaną przez bandy nacjonalistów ukraińskich. Mieszkający dziś we Wrocławiu Feliks Trusiewicz jest jednym z ostatnich żyjących świadków wstrząsających wydarzeń na Wołyniu. Miał dwadzieścia jeden lat, gdy policja ukraińska (tzw. szucmani) przy pomocy Niemców spacyfikowała w listopadzie 1942 roku jego ukochaną wieś i bestialsko wymordowała wszystkie mieszkające tam rodziny polskie. Był to pierwszy masowy mord ludności polskiej na Wołyniu, inspirowany przez nacjonalistów ukraińskich. Położoną wśród pięknych lasów kolonię tworzyło do czasu masakry dziesięć rodzin. Feliks Trusiewicz jako jedyny we wsi cudem wtedy ocalał. Jego babcia, mając przecucie, iż policja ponownie przyjdzie, poprosiła go, by opuścił Obórki. W czasie oblawy i masakry dokonanej przez ukraińską policję z Cumania (rankiem 13 i 14 listopada) nie było go więc we wsi.

W autobiograficznej książce zatytułowanej *Ścieżki mojego życia* te wydarzenia poznajemy z bardzo osobistej i przejmującej do głębi perspektywy. Znajdziemy w niej także swego rodzaju pamiętnik z okresu dojrzewania i lat edukacji kolejno w: Łucku, Klewaniu, Kołkach i znów w Klewaniu (nie brakuje smakowitych anegdot dotyczących szkolnych przygód, kolegów Żydów i Ukraińców oraz nauczycieli). Ponadto z ogromnym pietyzmem Feliks Trusiewicz odtworzył topografię swojego domu i gospodarstwa, obyczaje i codzienne życie ludzi zamieszkujących Wołyn przed drugą wojną światową, szczególnie rodzinną wieś Obórki i okolice. Są w tej publikacji napisane cudowną polszczyzną zachwyty nad urodą tamtejszej przyrody o każdej porze roku, często groźnej i niedostępnej, a także sylwetki niezwyklej mieszańców tej krainy podmokłych łąk, moczarów, lasów, błot i rozlewisk. Książka zawiera także pełne cennych detali przyczynki etnograficzne (np. fascynujące opisy bogatej



kultury ludowej Wołynia, jego folkloru, architektury miast i miasteczek, powszednich i świątecznych obyczajów) oraz historyczne.

Od czasu ukazania się debiutanckiej *Duszohubki*, której wysokie walory artystyczne dostrzegło wielu krytyków i recenzentów, Feliks Trusiewicz pozostaje wierny tematyce kresowej. *Był taki kraj kwieciami i miodem pachnący, światłem słońca przejmująco malowany od różowych zórz budzącego się dnia do purpur zachodu. Kraj bogactwem dzikiej, nieskażonej cywilizacją natury słynący [...] Na łonie tej dzikiej natury, w symbiozie z nią, żył lud prymitywny o duszy lirycznej, fizycznie odporny na trudy, czerpiący środki do życia z uprawy ziemi i owoców lasu oraz rzek. Ten kraj to północny Wołyn – moja umiłowana, utracona ziemia ojczyzna, rękami zbrodniarzy UPA usiana mogiłami polskich rodzin, popiołami ich osiedli i świątyń. Ta kolebka mojego życia nigdy nie zostanie zapomniana – w moich myślach i snach pozostanie jak cudowna legenda* – tak na okładce najnowszej książki *Nad Sluczem* wyjaśnia czytelnikom motywy swojego pisanie o swojej ziemi rodzinnej. Dzięki temu otrzymujemy kolejną wspaniałą możliwość



Dom rodzinny autora w Obórkach (ok. 1933)

wsluchania się w opowiadanie o potędze, bujności i dzikości tamtejszej natury oraz w zgodny z nią i porami roku rytm egzystencji wieloetnicznej społeczności. Sceną przedstawionych wydarzeń uczynił autor, inaczej niż w swoich trzech poprzednich powieściach wołyńskich, wieś o fikcyjnej nazwie: Brzeziny, przez którą przepływa rzeka Stucz. Mieszka w niej głównie ludność ukraińska, a także kilkanaście polskich rodzin. Nie brakuje w niej oczywiście małej społeczności żydowskiej. Daleko od wsi stoi dwór, który cudem ocalał po carskich konfiskatach nakładanych przez rosyjskiego zaborcę w odwecie za powstanie styczniowe.

Nad Stuczą to opowieść o skomplikowanych losach czterech pokoleń dwóch polskich rodzin, po sąsiedzku żyjących nad rzeką od czasu powstania styczniowego do końca drugiej wojny światowej. Autor jawi się jako wytrawny kronikarz i piewca kresowego świata oraz znakomity stylistą. Będące osiami fabuły wątki romantyczne i przygodowe nadają utworowi powabu i kolorytu. Osadzone na tle dramatycznych wydarzeń „epopeje wielkiej miłości” między Martą a Kazimierzem, a w kolejnym pokoleniu – między pochodzącą z patriotycznej rodziny Anną a ubogim sierotą i harcerzem Witoldem są symboliczną przeciwwagą nienawiści. Wielki bój o władzę nad bohaterami stoczą bowiem dwie potężne siły: Eros i Tanatos – miłość i śmierć. Młodzi z obydwu rodzin przeżywają wzniosłą miłość, którą muszą zmierzyć ze wszystkim, co przez wieki nawarstwi-

ło się na wołyńskiej ziemi „między nami sąsiadami” na dobre i na złe. Miłość pokonuje zło zawsze i wszędzie, nawet jeśli wydaje się, iż zło obzewładnia i nie ma przed nim ratunku – zdaje się nam mówić pisarz. Przyświecają mu dwa cele – uniwersalna przestroga przed tym, do czego zdolny jest człowiek działający pod wpły-

wem nienawiści. Stara się przy tym pokrzepić i wskazać na te wartości, które ocalają i są drogowskazem nawet w obliczu przerażających sytuacji. Przedstawione w utworze wydarzenia tragiczne są pozornie nie do pokonania, udaje się to jednak bohaterom tej powieści dzięki sile ducha i mądrości wynikającej z przekazywanych od pokoleń w rodzinie wartości i wiary w Boga.

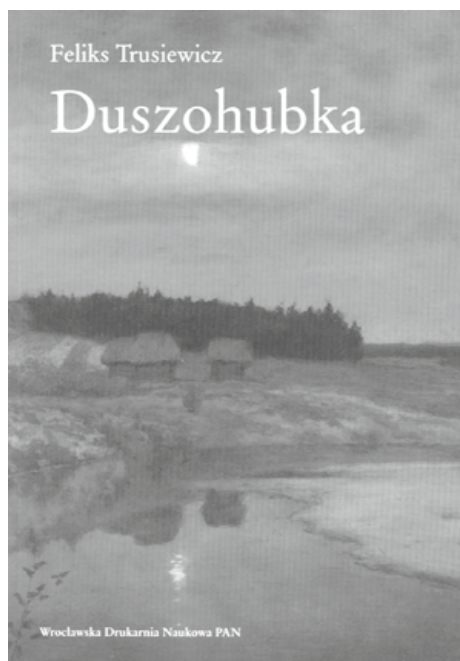
Tematem utworu jest również historia, którą autor pojmuje jak „niepisany cyrograf” do odczytania – tak jak rozumiał dzieje wielki polski poeta Kazimierz Wierzyński, który w przejmującym wierszu *Krzyże i miecze* zastanawia się: *Jak wyjść nad rozpacz, wszystkie rany, / Nad ziemską czas i ruch zegara / I czytać z wieków los wybrany, / Polski cyrograf niepisany, / Że śmierć nie wieczna. Wieczna wiara.* W *Nad Stuczem* unoszą się rzadkie w najnowszej literaturze: żar miłości do ojczyzny i duch historii, polskich powstań, walk, zmagañ o wolność, wejście w głąb dziejów, na co zwraca uwagę w przedmowie ceniony pisarz i poeta, także urodzony na Kresach, Stanisław Srokowski, który nazwie Feliksa Trusiewicza znakomitym kronikarzem naszych dziejów i gawędziarzem. Stanisław Srokowski wskazuje również na literacki artyzm opisów wiejskich pejzaży, prac polowych, tradycji i obrzędów, zwyczajów i obyczajów oraz na bogato pokazany śpiewny język lokalny, nasycony gwarą polską, rusińską, ukraińską, białoruską i rosyjską.

Z czułością i humorem Feliks Trusiewicz dokumentuje minione czasy, obyczaje i ludzi Wołynia; autor jest prawdziwym „Kitowiczem

Wołynia”, a możliwe tu i ówdzie podobieństwo do prawdziwych osób i zdarzeń nie jest czysto przypadkowe. Z dużym artystycznym zrekonstruował to, co podyktowały mu pamięć, zamiłowanie, wiedza, przeżycia i tęsknota. Nasycił swoją opowieść mnogością zapachów i barw, atmosferą dawności i blaskiem Polesia Wołyńskiego. Ta książka to kolejne w dorobku autora świadectwo tego, jak wielką miłością i pamięcią otacza swoją utraconą ojcowiznę. Feliks Trusiewicz znów połączył w niej wiedzę historyczną i kresowy regionalizm z własnymi przeżyciami, zaobserwowanymi wydarzeniami i zachowaniami mieszkańców tej ziemi.

Opowieść ta jest też formą przywracania pamięci bestialsko pomordowanym przez terrorystów ukraińskich Polakom, w tym kobietom i dzieciom. Pisarz subtelnie, bez epatowania ukazuje bezmiar okrucieństwa i cierpienia wojenne, a wcześniej dramat utraty niepodległości i walk o jej odzyskanie. Zarazem przedstawia potęgę miłości, odwagi, wysokiej kultury duchowej i wierności najwyższym wartościom. *Nad Słuczą* można uważać za przyczynek do odtworzenia pewnej prawdy zarówno w historii, geografii, psychologii i czasie, a tego w gruncie rzeczy szukamy w każdej dobrej książce.

Wszystkie cztery utwory prozatorskie Feliksa Trusiewicza: *Duszohubka*, *Hawryłko*, *Medalionik* i *Nad Słuczą* dają ogrom przeżyć pełnych, zazębionych o sprawy wieczne, gdzie za każde „tak” i za każde „nie” czło-



wiek się nie waha oddać życia, bo w nie wierzy i taki właśnie stosunek do świata, wśród nawet najgorszych klęsk, stwarzają miłość i wiara, które są nieprzemijające.

Nad Słuczem ukazało się staraniem autora. Wszystkie publikacje Feliksa Trusiewicza można zamówić u samego pisarza za pośrednictwem strony: <http://www.trusiewicz.pl/index.html>.



ŚLUBY LWOWSKIE JAKO FINAŁ CIĄGU ZDARZEŃ ZACZĘTYCH W KRAKOWIE, HEROICZNYCH NA JASNEJ GÓRZE I PODSUMOWANYCH WE LWOWIE, ERGO: CRACOVIA – MONS CLARUS – LEOPOLIS I MATEJKOWSKIE NIMI ZAINTERESOWANIE

Epoka baroku, z której jakże ważne epizody dane mi jest przytoczyć, lubowała się w długich a wyczerpujących tytułach książek, a więc proszę Szanownych Czytelników o specjalną permisję na właśnie takie – jak wyżej – nazwanie artykułu, nie stroniącego od makaronizmów.

CRACOVIA

Stare włoskie powiedzenie *Se non e vero, e ben trovato* (Jeśli to nie jest prawdą, to dobrze prawdę oddaje) znakomicie pasuje do podania z czasów szwedzkiego potopu o zwiedzaniu katedry wawelskiej przez króla szwedzkiego Karola X Gustawa, gdy ten po dwutygodniowym oblężeniu miasta i honorowej kapitulacji załogi pod dowództwem Stefana Czarnieckiego zajął nominalną stolicę Rzeczypospolitej. Orowadzany 19 października 1655 roku przez kanonika wawelskiego Szymona Starowolskiego, przechadzał się dumny po katedrze pomiędzy pomnikami naszej historii. Tu należy dodać, że Szymon Starowolski był już w podeszłych latach, a jego doświadczenie życiowe, bogate w kontakty z wybitnymi osobistościami, jak choćby hetman Jan Zamoyski czy hetman Jan Karol Chodkiewicz, któremu towarzyszył w sławnej bitwie pod Chocimiem, pozwalały mu mieć odpowiedni dystans do rzeczywistości. Gdy podeszli do pięknego nagrobka Władysława Łokietka, który stał się wzorem dla kolejnych wawelskich nagrobków tumbowych, Szymon Starowolski opowiedział historię króla, który z wyjątkowym uporem dążył do zjednoczenia Polski i zakończenia osłabiającego rozbitcia dzielnicowego. Podkreślił, że Władysław zajmował kilkakrotnie Kraków, a przeganiany ze stolicy znów tu powracał, aż dane mu było od Boskiej Opatrzności zwyciężyć i koronowawszy się tutaj, dożyć na tronie starości. Król szwedzki, świętujący definitywne – jak mu się wydawa-

ło – zwycięstwo nad Janem Kazimierzem, który został zmuszony do ucieczki na Śląsk, wypalił spontanicznie:

– Wasz Jan Kazimierz, raz wygnany, więcej nie powróci!

Na to Szymon Starowolski, jakby natchniony wizją przyszłych wypadków, odparł z największym spokojem:

– *Deus mirabilis, fortuna variabilis...* (co się tłumaczy jako: Bóg miłosierny, a los zmienny...)

Wersja ta pochodzi ze sławnego *Herbarza* Kaspra Niesieckiego. Dialog ten opisał także zasłużony kronikarz Wespazjan Kochowski, współczesny wypadkom, w czwartym tomie tzw. *Klimakteriów*, cytując *Deus potens* (Bóg potężny). Niektóre przekazy mówiły, że Szymon Starowolski miał powiedzieć *Deus admirabilis* (Bóg zadziwiający). Zatem, z małymi różnicami co do wielu przymiotów Boga Wszechmogącego, sentencja wyrażała zawsze jeden sens, że potrafi On odmienić każde niepowodzenie w pomyślność. Tak się też stało wkrótce.

MONS CLARUS

Najazd Szwedów na Rzeczpospolitą w 1655 ujawnił jej decentralizację. Seria nieszczęść, jakie spadły na nas od 1648 – włącznie z powstaniem Chmielnickiego i najazdem tatarskim, upadkiem Sejmu w 1652 roku poprzez użycie liberum veto, zdradzieckim układem perejaślawskim i najazdem rosyjskim w 1654 roku – przybiły Rzeczpospolitą. Napad Karola X Gustawa w 1655 roku został przez większość środowisk szlacheckich przyjętych wręcz zycliwie. Nawet wojska królewskie opuściły w nieszczęściu prawowitego monarchę Jana Kazimierza, a on uchodził na południe, ścigany przez Szwedów. W podróży towarzyszył mu niezmiennie tylko nuncjusz papieski bp Pietro Vidoni i garstka dworzan, z którymi dotarł na



Jan Matejko, Śluby Lwowskie Jana Kazimierza

zagraniczny Śląsk do Głogówka (*nota bene*, dwa razy nuncjusze papiescy jako jedyni dyplomaci pozostali przy polskich władzach w najcięższych chwilach dziejowych: Pietro Vidoni podczas potopu i Achille Ratti podczas wojny z bolszewikami w 1920 roku.)

Rzeczpospolita była już prawie cała w rękach Karola X Gustawa i czuł się on tak pewnie, że jego żołdacy rabowali miasta i wsie, a zdobycze posyłali barkami Wisłą do Gdańska, a dalej do Szwecji. W tej sytuacji Szwedzi postanowili opanować klasztor jasnogórski, który był zarazem twierdzą, jak i słynącym z bogactw sanktuarium maryjnym. Paulini byli depozytariuszami słynącego z cudów wizerunku Matki Boskiej, o którym mawiano, że został namalowany przez samego św. Łukasza. Tę tradycję podtrzymuje bohaterski w dobie potopu przeor Augustyn Kordecki w swoim *Pamiętniku*. Cytuje: ... obraz Najśw. Maryi Panny, przez św. Łukasza na stole cyprysowym odmalowany, przy którym Jezus Syn Boży, ze swą najmilszą Matką i św. Józefem, opiekunem, w domu Nazareńskim zwykł był pokarm przyjmować. Obraz ten z Jeruzalem dostał się do Konstantynopola, a stamtąd na Ruś, gdzie go Lew, książę Ruski, w zamku Bełskim złożył, a w pięćset prawie lat Władysław, książę Opolski, w r. 1382 tu go umieścił, wielki i dosyć okazały kościół, oraz klasztor wybudowawszy, który zakonnikom reguły św. Pawła, pierwszego pustelnika,

z Węgier sprowadzonym oddał. Obraz trafił na Jasną Górę dokładnie 31 sierpnia 1384 roku. Bardzo charakterystyczne na twarzy Matki Boskiej są rysy, pochodzące z 1430 roku, gdy obraz słynął już cudami, a na sanktuarium napadli husyci i umyślnie święty wizerunek uszkodzili. Renowację fundował w Krakowie Władysław Jagiełło i obraz powrócił po czterech latach do sanktuarium. W XVI wieku różnowiercy atakowali ze szczególną zawziętością kult maryjny, a tym samym Jasna Góra stała się symbolem twierdzy wiary katolickiej, a kult Czarnej Madony odróżniał Polaków-katolików od heretyków.

Porwanie się przez protestanckich Szwedów na taką świętość skupiło uwagę wszystkich, a skuteczna obrona obrósła legendą, podtrzymywaną później nawet przez samych Szwedów, którzy nieskuteczność oblężenia woleli tłumaczyć raczej cudami maryjnymi niż swoją nieporadnością. Należały do nich takie zjawiska jak trafienie w brzuch zabłąkaną kulą armatnią z twierdzy siostrzeńca szwedzkiego dowódcy (generała Burcharda Müllera von der Lühnen), który zdrożony położył się w łóżku swego wuja na kwaterze. Innym było opadnięcie mgły, którą „wyczarowali” lapońscy czarownicy i pod osłoną której podeszli Szwedzi aż pod same mury, a ogłupiałych na polu strzelby obrońców mocno przetrzebiły. Wreszcie wszyscy opowiadali, że potężna niewiasta osłaniała twier-



Jan Matejko mal.
Kazimierz i Starowolski przed grobowcem Wł. Łokietka:
„Deus admirabilis fortuna variabilis”.

Jan Matejko, Szymon Starowolski z Karolem Gustawem przed grobem Władysława Łokietka

dzę swym niebieskim płaszczem, a gdy ją pewien Polak wysługujący się Szwedom wziął na cel, to żelazny muszkiet przykleił mu się na mrozie do policzka i trzeba było odciąć mu cały płat skóry. Jeśli nawet człowiek

wstania, jakie rozprzestrzeniło się przeciw szwedzkiej okupacji i postanowił dać temu wyraz poprzez szczególne podziękowanie Matce Boskiej za opiekę i poddanym – w tym prostemu ludowi – za poparcie. Inicjatywę ślubów lwowskich przypisują dziś historycy najczęściej małżonce króla Ludwice Marii Gonzadze oraz abp gnieźnieńskiemu Andrzejowi Leszczyńskiemu, a autorstwo zaprzysiężonego tekstu św. Andrzejowi Boboli, który miał w następnym roku (16 maja 1657) zostać najokrutniej zamęczony przez kozaków za wiarę. Obojgu znane były doskonale trzy wizje, jakich doświadczył włoski jezuita Giulio Mancinelli na początku XVII wieku, w których Matka Boska domagała się, aby traktowano ją jako królową Polski. Ojciec Mancinelli był tak dalece pod ich wrażeniem, że w 1610 roku odbył specjalną pielgrzymkę do Polski, podczas której został przyjęty na uroczystej audiencji przez króla Zygmunta III Wazę. Podkreślić zatem należy, że obranie Matki Boskiej za królową Polski nie było jedynie aktem wdzięczności Jana Kazimierza za pomoc w dobie potopu. Kolejność wypadków wskazuje wyraźnie, że śluby lwowskie były ukoronowaniem półwiecznego procesu dojrzewania do tego aktu, a obrona Jasnej Góry mogła jedynie oficjalnie stwierdzenia przyspieszyć. Już w roku 1642 ojciec Dionizy Łobżyński stwierdził, że *Maryja jest Królową Polski, Patronką bitnego narodu, Patronką naszą, Królową Jasnogórską, Królową niebieską, Panią naszą dziedzielną!*

XXI wieku patrzy na te wiadomości z przyrzużeniem oka, to jako historyk musi przyznać, że właśnie jako cuda postrzegali to wszystko zarówno obrońcy, jak i obiegający Jasną Górę. Ponad wszystkie fakty stwierdzić trzeba, że cudem samym w sobie była powszechna zmiana nastawienia Polaków do Karola X Gustawa, gdy zamachnął się na sanktuarium. Zwolennicy zaczęli go odstępować, a dotychczas obojętni porwali za broń. Zaangażowali się również w znaczącej sile chłopci. W św. Szczepana Szwedzi stracili zupełnie ducha i zwinęli obłęzenie. Następnego dnia, 27 grudnia 1655 roku – co zbiega się bardzo symbolicznie – król Jan Kazimierz stanął w Lubowli na Spiszu, czyli na swojej ziemi. Stąd ruszył przez Biecz i Nowy Żmigród do Dukli, 3 stycznia 1656 roku zaś zatrzymał się na dłużej w Krośnie, gdzie odwiedzili go konfederaci, którzy 31 grudnia powołali związek zbrojny z hetmanami Stanisławem Rewerą Potockim i Stanisławem Lanckorońskim oraz Stefanem Czarnieckim i Jerzym Lubomirskim na czele. Przybyli też inni senatorowie, więc król mógł odbyć Radę Senatu. W połowie stycznia był w Łąncucie na zamku Lubomirskich, gdzie 22 stycznia przekształcono konfederację tyszowiecką w generalną. W swoim triumfalnym powrocie dotarł 10 lutego do Lwowa, gdzie ścigało coraz więcej przychylnego mu wojska, a on sam zaczął sprawować rządy królewskie po dawnemu.

LEOPOLIS

Jan Kazimierz Waza pozostawał pod wielkim wrażeniem ogólnonarodowego po-

Ignoranci zastanawiają się często nad polskim fenomenem obrania sobie Matki Boskiej za władczynię, ale w dobie baroku było to zjawisko zwyczajne. W wieku XVII Matka Boska została obdarowana tytułem królewskim Bawarii (1620), Francji (1638), Austrii (1647) i Portugalii (1648). W Polsce Jan Długosz w XV wieku nazywa ją *najdojstojniejszą Królową świata i naszą*. Król Zygmunt August ofiarowuje jej swoje berło królewskie, Władysław IV dwie złote korony dla Dzieciątka i Maryi, a także królowa Eleonora przekazuje koronę Matce Bożej, pamiętając Jasną Górę jako miejsce swojego ślubu i wesela z Michałem Korybutem Wiśniowieckim. Wreszcie August II Sas zwieńcza całą ikonę złotą koroną z diamentami (1717).

1 kwietnia 1656 roku przed wizerunkiem Matki Bożej Łaskawej w katedrze Wniebozięcia Najświętszej Maryi Panny w Lwo-

wie odbyły się wielkie uroczystości. Po mszy św., celebrowanej przez nuncjusza papieskiego Piotra Vidoniego, król w całym swym majestacie nazwał ją Królową Korony Polskiej i obiecał, że poprawi sytuację chłopów i mieszczan. Dała temu wyraz także druga deklaracja obioru, wygłoszona przez podkanclerzego koronnego, bp. przemyskiego Andrzeja Trzebieckiego, w imieniu rządców, dostojników i wszystkich ludów królestwa tego. Również tego dnia na niesporach nuncjusz papieski do litanii loretańskiej zaintonował po raz pierwszy wezwanie: *Regina Regni Poloniae – Ora pro nobis!*

Godzi się przytoczyć tekst, który Jan Kazimierz wygłosił we Lwowie, a który uwieczniony jest na specjalnej tablicy jasnogórskiej: *Wielka człowieczeństwa Boskiego Matko i Panno! Ja, Jan Kazimierz, Twego Syna, Króla królów i Pana mego, i Twoim zmiłowaniem się król, do Twych Najświętszych stóp przychodząc, tę oto konfederację czynię: Ciebie za Patronkę moją i państwa mego Królową dzisiaj obieram. Mnie, Królestwo moje Polskie, Wielkie Księstwo Litewskie, Ruskie, Pruskie, Mazowieckie, Żmudzkie, Inflanckie i Czernihowskie, wojsko obojga narodów i pospólstwo wszystko Twojej osobliwej opiece i obronie polecam, Twojej*

pomocy i miłosierdzia w terażniejszym utrapieniu królestwa mego przeciwko nieprzyjaciołom pokornie żebrzę...

A że wielkimi Twymi dobrodziejstwami zniewolony przymuszony jestem z narodem polskim do nowego i gorącego Tobie służenia obowiązku, obiecuję Tobie, moim, ministrów, senatorów, szlachty i pospólstwa imieniem, Synowi Twemu Jezusowi Chrystusowi, Zbawicielowi naszemu, cześć i chwałę przez wszystkie krainy Królestwa Polskiego rozszerzać, czynić wolą, że gdy za zlitowaniem Syna Twego otrzymam wiktoryę nad Szwedem, będę się starał, aby rocznica w państwie mym odprawiała się solennie do skończenia świata rozpamiętywaniem łaski Boskiej i Twojej, Panno Przczysta!

A że z wielkim żalem serca mego uznaję, dla jęczenia w presji ubożego pospólstwa oraczów, przez żołnierstwo uciemiężonego, od Boga mego sprawiedliwą karę przez siedem lat w królestwie moim różnymi plagami trapiącą nad wszystkich ponosząc, obowiązuje się, iż po uczynionym pokoju starać się będę ze stanami Rzeczypospolitej usilnie, ażeby odtąd utrapione pospólstwo wolne było od wszelkiego okrucieństwa, w czym, Matko Miłosierdzia, Królowo i Pani moja, jakoś mnie natchnęła do uczynienia tego



January Suchodolski, Obrona Jasnej Góry

wotum, abyś łaską miłosierdzia u Syna Twe-
go uprosiła mi pomoc do wypełniania tego,
co obiecuję.

Ważną częścią roty Jana Kazimierza
była obietnica ulżenia niedoli chłopów, co
nie zostało nigdy przez niego dotrzymane,
m.in. dlatego że znękany przeciwnościami
abdykował w 1668 roku. Powoli i z trudem
dokonywało się też przełożenie aktu uzna-
nia Matki Boskiej za królową Polski na co-
dzienne praktyki i powszechną świadomość.
W 1717 roku wizerunek jasnogórski został
ukoronowany przez nuncjusza Grimaldiego
koronami papieskimi, a August II Sas obda-
rował go swoimi. W 1904 r. na zakończenie
Kongresu Mariańskiego we Lwowie abp Bil-
czewski dodał do tekstu królewskiego zo-
bowiązanie do walki o sprawiedliwość spo-
łeczną i jedność narodową: *aby wszystkim
stanom, a zwłaszcza ludowi i robotnikom,
stała się sprawiedliwość*. W 1923 roku Sto-
lica Apostolska ustanowiła 3 maja święto
Matki Boskiej Królowej Polski, łącząc go
z tradycją Konstytucji i dając temu wyraz
poprzez umieszczenie wezwania w litanii
łoretańskiej. W 1956 r. u stóp Matki Boskiej
Częstochowskiej ślubu odnowił prymas Wy-
szyński z komunistycznego uwięzienia w Ko-
mańczy. Tekst ślubów odczytał abp Kominek,
a pod murami jasnogórskimi zgromadziło się
około miliona wiernych. Ze szczególnego
oddania Matce Bożej zasłynął Jan Paweł II,
który złożył przy Obrazie Matki Boskiej
Częstochowskiej złotą różę papieską.

ILUSTRACJE

Jan Matejko, jako nasz wybitny malarz-
pedagog historii ojczyściej, nie mógł pomi-
nać okazji, aby Polakom przypomnieć ten
epizod, i namalował w 1857 roku obraz,
który był jego pracą dyplomową na zakoń-
czenie studiów krakowskich. Reprodukujemy
go powyżej, korzystając z portalu polona.pl
(Matejko, Jan (1838–1893) adres wydawni-
czy: Kraków, Wydawnictwo Salonu Malarzy
Polskich, [1927–1936] Kraków: „Akropol”).
Szczegółowe losy tego obrazu zasługują
na osobne opracowanie, a warto choćby
zasygnalizować, że w 1894 roku znalazł
się na wielkiej Wystawie Krajowej we Lwo-
wie, gdzie Matejko miał osobny pawilon,
a w nim także wspaniałe dzieło użyczone
przez książąt Lubomirskich. W 1940 roku
władze radzieckie włączyły obraz do zbiorów

Lwowskiej Galerii Obrazów. Nadal znajduje
się we Lwowie, a instytucja go posiadająca
nazywa się dokładnie Lwowską Narodową
Galerią Sztuki im. B.G. Woźnickiego.

Galeria nabyła także podczas wspo-
mnianej wystawy w 1894 roku ostatni, nie-
dokończony obraz Jana Matejki pt. *Śluby
Lwowskie Jana Kazimierza* (dużych roz-
miarów: 5 × 3 m), przechowywane wcześniej
w ratuszu. Matejko pracował nad obrazem
od marca do października 1893 roku, ale
śmierć udaremniła dokończenie dzieła. Na
szczęście jest ono na tyle zaawansowa-
ne, że oglądający mogą mieć prawie peł-
ne wyobrażenie o tym akcie historycznym.
Po kilkudziesięciu latach spędzonych przez
obraz we Lwowie został on wydany Pola-
kom i w 1946 roku trafił do Wrocławia, do
Muzeum Narodowego, gdzie możemy go
oglądać także dziś. Na Jasnej Górze znaj-
duje się natomiast współczesna kopia ob-
razu (z 1956 r., namalowana przez Józefa
Weylanda), która od 2006 roku słusznie
zdobi przedsionek kaplicy Cudownego Ob-
razu Matki Boskiej.

Dziwnym zrzędzeniem losu opisywane
w artykule dwa dzieła Jana Matejki doty-
czące ważnych epizodów najazdu szwedzkiego
zostały namalowane w Krakowie, a na bar-
dzo długo związały się ze Lwowem. Równie
ciekawe jest i to, że obraz *Karol Gustaw
i Starowski przed grobowcem Władysła-
wa Łokietka* był de facto pierwszym jego
oficjalnym dziełem, a *Śluby Lwowskie Jana
Kazimierza* ostatnim...

Najokrutniej obszedł się los z wielkim
(360 × 800 cm) obrazem Matejki, ilustрую-
cym obronę Jasnej Góry pt. *Kordecki na
murach Częstochowy, błagający o pomoc
Bożą*, namalowanym w 1884 roku. Zaginał
on, a wyobrażenie o jego wspaniałości daje
jedynie drzeworyt wykonany przez Józefa
Holewińskiego.

WYBRANA LITERATURA [dostęp 11 VI 2019]:

<https://twojahistoria.pl/2018/01/10/jan-kazimierz-uciekli-z-kraju-ale-polacy-nie-tracili-hartu-ducha-jak-krakow-powital-karola-gustawa-podczas-potopu-szwedzkiego/#2>
<http://www.lwow.home.pl/galeria/matejko/matejko.html>
http://rcin.org.pl/Content/64689/WA248_83415_P-1-30_nowaszczuk-przyczynek_o.pdf
<http://jasnagora360.zdjecialotnicze.pl/obraz-sluby-lwowskie-jana-kazimierza/>
<http://www.jasnagora.com/wydarzenie-1623>
<http://blogmedia24.pl/node/65637>
<https://sites.google.com/site/potopszwedzki16551660/przyczyny-i-przebieg-wojny/powrot-jana-kazimierza>
<http://www.kulturyjny.pl/trzy-objawienia-marii-krolowej-polski-ktore-otrzymal-sluga-bozy-juliusz-mancinelli/>

Michał Piekarski

Polacy jako soliści wiedeńskiej Hofoper i Staatsoper

Musica Leopoldis

W roku 2019 przypada kilka okrągłych rocznic związanych z kulturą muzyczną – zarówno w Polsce, jak i w Austrii. Nad Wisłą obchodzimy 200-lecie urodzin Stanisława Moniuszki (o czym będzie jeszcze w kolejnym numerze „Cracovia–Leopoldis”), nad Dunajem hucznie obchodzone jest 150-lecie Opery Wiedeńskiej.

Opera Wiedeńska jest instytucją szczyjącą się ciągłością tradycji, trwających mimo zmian nazwy instytucji oraz zniszczeń wojennych. W XVIII w. spektakle operowe odbywały się w Wiedniu w nieistniejącym dziś dawnym gmachu Burgtheater (istniejący do dziś nowy Burgtheater powstał w 1888 r.). W 1869 r. powstał okazały gmach operowy, znany wtedy jako Hofoper (czyli instytucja dworska). Do dziś na fasadzie widoczny jest napis upamiętniający cesarza Franciszka Józefa, za którego panowania był to publiczny teatr finansowany przez dwór cesarski. Po zmianie ustroju politycznego Austrii opera otrzymała po prostu nazwę Operntheater, zaś od 1938 r. po dziś dzień jest to Wiener Staatsoper (opera państwowa). Podczas bombardowania w 1945 r. gmach opery został w znacznym stopniu (ale nie całkowicie) zniszczony. Do 1955 r. spektakle operowe odbywały się w pobliskim Theater an der Wien oraz w znajdującej się nieco dalej Volksoper (operetce wiedeńskiej).

W 1869 r. inauguracja nowego gmachu uświetniona została wykonaniem *Don Giovanniego* W.A. Mozarta, po odbudowie po

zniszczeniach wojennych zaprezentowano w 1955 r. *Fidelia* L. van Beethovena. Z okazji jubileuszu w 2019 r. przygotowana została premiera *Die Frau ohne Schatten* Richarda Straussa. Wiener Staatsoper szczydzi się nie tylko jednym z najdłuższych sezonów wśród teatrów operowych świata, trwającym 10 miesięcy w roku (od początku września do końca czerwca), ale i największą liczbą spektakli (nieraz nawet siedem dni w tygodniu!) oraz różnorodnym repertuarem.

Będąc stałym bywalcem Wiener Staatsoper (i pisząc te słowa w Wiedniu, wkrótce przed kolejnym wieczorem operowym) niejednokrotnie przenoszę się w czasie, wyobrażając sobie polskich śpiewaków występujących na tej legendarnej scenie na przestrzeni ostatnich ponad stu lat. Wkład Polaków jako solistów Opery Wiedeńskiej widoczny jest co najmniej od lat 80. XIX w. Listę tę otwiera Marcelina Sembrich-Kochańska (ur. 1858 w Wiśniowczyku w Galicji, zm. 1935 w Nowym Jorku), znana przede wszystkim jako wieloletnia diwa Hofoper w Dreźnie oraz Metropolitan Opera w Nowym Jorku, która w 1887 r. w wiedeńskiej Hofoper wystąpiła jako odtwórczyni roli tytułowej *Łucji z Lammermooru* Gaetano Donizettiego oraz w *Lunatyczce* Vincenzo Belliniego. Jak pisały ówczesne gazety, sukces Marcelli był tak wielki, że została zmuszona do bisów przez samego arcyksięcia Rudolfa. Marcella Sembrich-Kochańska, zanim wyjechała do Wiednia, kształciła się w Konserwatorium



Marcelina Sembrich-Kochańska



Helena Zboinska-Ruszkowska



Konrad Zawilowski



Gmach Opery w Wiedniu
fot. Michał Prekarski

GTM we Lwowie w klasie fortepianu, będąc dzięki temu śpiewaczką o wszechstronnym muzycznym wykształceniu. Marcella Sembrich-Kochańska wielokrotnie występowała także dla polskiej publiczności w teatrach Warszawy, Lwowa i Krakowa.

Kolejna diwa Opery Wiedeńskiej to Helena Zboińska-Ruszkowska (ur. 1877 we Lwowie, zm. 1948 w Krakowie), która kształciła się we Lwowie w klasie legendarnego pedagoga śpiewu Walerego Wysockiego. Zboińska-Ruszkowska stała się potem znana jako solistka mediolańskiej La Scali, zaś w wiedeńskiej Hofoper wystąpiła m.in. w 1905 r. jako Lisa w *Damie pikowej* Piotra Czajkowskiego. W Operze Wiedeńskiej występowała także przez 2 sezony w latach 1914–1916. Przez szereg sezonów związana była także z Teatrem Wielkim w Warszawie. Po zakończeniu kariery scenicznej Helena Zboińska-Ruszkowska zamieszkała w Krakowie, poświęcając się pracy pedagogicznej we własnej szkole śpiewu oraz w Państwowej Wyższej Szkole Muzycznej.

Do solistów Opery Wiedeńskiej należał Konrad Zawilowski (ur. 1880 w Krakowie, zm. 1952 w Berlinie), znany solista Hofoper w Berlinie, zatrudniony przez wiedeńską Hofoper w latach 1904–1907, gdzie w 1905 r. śpiewał m.in. w operze Hansa Pfitznera *Die Rose vom Liebessgarten*, wprowadzonej na scenę przez ówczesnego dyrektora opery Gustava Mahlera. Co warto dodać, Zawilowski z powodzeniem ukończył na Uniwersytecie Wiedeńskim studia muzykologiczne, jednak sukcesy sceniczne ostatecznie i na dobre odwiodły go od zagadnień związanych z teorią i historią muzyki.

W okresie międzywojennym w Operze Wiedeńskiej wielokrotnie występował Jan Kiepura (ur. 1902 w Sosnowcu, zm. 1966 w Harrison), jednocześnie solista londyńskiej Covent Garden, mediolańskiej La Scali, berlińskiej Staatsoper. Choć nie kształcił się

we Lwowie, to właśnie tu na scenie Teatru Miejskiego w 1925 r. debiutował w roli solowej w *Fauście* Charlesa Gounoda. Warto dodać, że Jan Kiepura za swój wybijający się głos został wcześniej usunięty z chóru Opery Warszawskiej, gdzie powrócił z wielkimi tryumfami jako solista. W Operze Wiedeńskiej Kiepura występował wielokrotnie, m.in. w 1926 r. jako Cavaradossi w *Tosce* Giacomo Pucciniego (w tej roli do 1936 r.) oraz jako Kalaf w *Turandot* Giacomo Pucciniego (pierwsze wystawienie tej opery w Austrii, w tej roli Kiepura występował do 1937 r.), w 1927 i 1928 r. w *Das Wunder der Heliane* Ericha Wolfganga Korngolda, w latach 1929–1936 w *Rigoletto* Giuseppe Verdiego, w 1937 r. w *Il Trovatore* Giuseppe Verdiego, w 1938 r. w *Carmen* Georges'a Bizeta.

Tradycja zapoczątkowana w drugiej połowie XIX trwa do dziś i kontynuowana jest w XXI w. przez kolejne pokolenia polskich śpiewaków. W drugiej połowie XX w. w Wiener Staatsoper wystąpił Wiesław Ochman. Dziś usłyszeć tu możemy (w zależności od sezonu) całą plejadę najlepszych polskich śpiewaków: Aleksandrę Kurzak, Andrzeja Dobbera, Tomasza Koniecznego i Mariusza Kwietnia. W ten sposób polscy soliści jako odtwórcy często najważniejszych ról grywanych na scenie wiedeńskiej Staatsoper mają wkład w jej rozwój od ponad 130 lat. Warto o tych wątkach pamiętać, bowiem w pamiętkowej publikacji, która ukazała się właśnie na 150-lecie Opery Wiedeńskiej (liczącej ok. 1000 stron), niestety na próżno szukać większości tych nazwisk z XIX i początku XX w. (poza może Marceliną Sembrich-Kochańską). Dla porównania Czesi już od XIX w. dbają o odpowiednią promocję swojego kraju w świecie, więc nie dziwi, że znalazł się tu rozdział *Jenufa* Leoša Janáčka na scenie Opery Wiedeńskiej... Także właśnie z tego powodu – w przeciwieństwie do oper czeskich – do tej pory na scenie Wiener Staatsoper nie była grana dotąd żadna opera Stanisława Moniuszki (co we wspomnianej publikacji odnotowano). W przypadającym Roku Moniuszkowskim w grudniu w Theater an der Wien wystawiona zostanie *Halka*, jednak – mimo wartości tego wydarzenia – czy nawet w Roku Moniuszkowskim na płaszczyźnie polityki kulturalnej zadowala nas trwanie wciąż najwyżej w II lidze, mimo że śpiewaków mamy pierwszoligowych?

Tadeusz Olszański

Dora i Jaremcze

Czym dla Krakowa – Zakopane, Podhale i Tatry, tym, zwłaszcza dla Stanisławowa i Lwowa od ostatniej ćwierci XIX w. do wybuchu II wojny światowej – był rewelacyjny teren Huculszczyzny i Karpat Wschodnich.

Były to piękne regiony z niepowtarzalnymi walorami górskiego pejzażu Czarnohory i Gorganów, kraina karpackich górali – Huculów.

Obszary niezwykle atrakcyjne z turystycznego, etnograficznego i etnologicznego punktu widzenia, wabiące przybyszów zarówno zimą, jak częściej latem, gdzie tak jak autor wspomnień z bez trosk wakacji w huculskich Beskidach – całymi rodzinami spędzano tam letnie miesiące.

Tadeusz Olszański – to rodowity stanisławowianin, z wykształcenia dziennikarz, talentem – pisarz, autor wielu książek (o tematyce sportowej, kulinarnej, wspomnieniowej) oraz przekładów z języka węgierskiego. Do krainy swej młodości wrócił książkami: *Kresy Kresów. Stanisławów i Stanisławów jednak żyje* (wyd. Iskry). Cieszyły się tak dużym zainteresowaniem, że skompilowane w jednym tomie pod wspólnym tytułem *Kresy Kresów. Stanisławów jednak żyje* zostały wydane przez krakowski Wysoki Zamek, w tłumaczeniu na język ukraiński oraz w wersji audiobooku w języku polskim przez Centrum Kultury Polskiej i Dialogu Europejskiego w Stanisławowie (obecnym Iwano-Frankiwsku).

Krystyna Stafińska

Na każde letnie wakacje jeździłem z mamą do Dory i Jaremcza. Ojciec zostawał w domu ze swoimi książkami oraz pacjentami i tylko od czasu do czasu przyjeżdżał w sobotę i niedzielę, aby nas odwiedzić. Obie miejscowości letniskowe, pięknie położone w dolinie Prutu, w huculskich Beskidach, były wielce modne, a w dodatku znajdowały się blisko Stanisławowa. Jechało się tam koleją niecałe dwie godziny, naprzód wzdłuż Bystrzycy Nadwórniańskiej z jednej strony, a rzeczki zwanej Strymbą z drugiej, od Delatyna natomiast wzdłuż Prutu. To były pierwsze w moim życiu podróże pociągiem, więc nic dziwnego, że byłem szalenie podniecony. Uwielbiałem patrzeć na rzeki mknące ostrym prądem, a zwłaszcza na Prut, którym spływały jedna za drugą tratwy. Raz rzeka była z prawej, a raz z lewej strony, więc za każdym przejechanym mostem biegałem z przedziału na korytarz i z powrotem, co szalenie denerwowało moją mamę. Uważała, że powinienem spokojnie przy niej siedzieć, bo zdążę się przecież wyhasać. Ale jak można było opuścić okazję machania ręką do sterujących tratwami Huculów, którzy równie ochoczo odpowiadali na nasze pozdrowienia.

W okresie mego dzieciństwa podróż pociągiem była niezwykle wyjątkowym wydarzeniem

i przebiegała pod znakiem właśnie wzajemnego pozdrawiania się przez przyjazne machanie ręką wszystkim po drodze. A także spisywania na kartce lub w zeszycie nazw wszystkich stacji, na których zatrzymywał się pociąg. A że podczas pobytu na wakacjach również pociągiem jeździliśmy na wycieczki, więc na pamięć znałem całą trasę aż do samej granicy z Czechosłowacją: Chryplin, Nadwórna, Delatyn, Dora, Jaremcze, Jaremcze-Wodospad, Kamień Dobosza, Jamna, Diłok, Mikuliczyn, Podleśniów, Zeniec, Tatarów i wreszcie Worochta. Tu kończyła się Polska, bo następna stacja, Jasina, znajdowała się wtedy już po czechosłowackiej stronie.

Pociąg cały czas piął się doliną Prutu pod górę. Właśnie ta rzeka rozdzielała pasmo Gorganów od Czarnohory. Od Dory zaczynały się tunele i wysokie wiadukty nad Prutem. Wytyczona i zbudowana na przełomie XIX i XX wieku przez polskich inżynierów trasa kolejowa ze Stanisławowa do Worochty była absolutnym arcydziełem budowy szlaków kolejowych nie tylko jak na owe czasy i służy po dziś dzień. Wysoki na 50 metrów wiadukt nad Prutem koło wodospadu w Jaremczu, zbudowany według projektu profesora Stanisława Kosińskiego, nie miał sobie równych w Europie, bo łuk

jednego z prześel miał aż 65 metrów rozpiętości! Takie wiadukty widzi się dziś tylko w Alpach i na Sycylii, ale zbudowano je dopiero w okresie autostrad, w drugiej połowie minionego stulecia. To my byliśmy pierwsi i wyprzedziliśmy epokę.

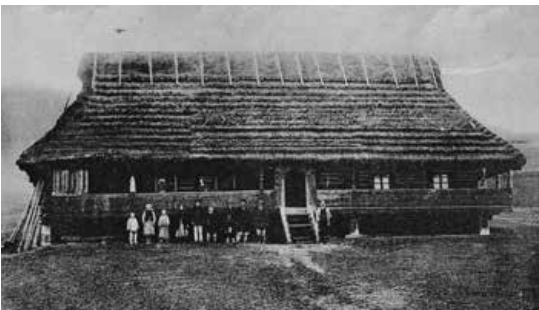
Stanisławów był miastem kolejarskim. Tu znajdowała się Dyrekcja Okręgu Kolejowego oraz Zakłady Naprawcze PKP. Przez Stanisławów wiodła linia kolejowa ze Lwowa do Czerniowiec i Bukaresztu oraz druga, właśnie przez Worochtę, do Czechosłowacji i na Węgry. Nasze koleje były niesłychanie eleganckie i punktualne. Były aż trzy klasy wagonów osobowych. W III klasie z drewnianymi ławkami nie było przedziałów. Wagony I oraz II klasy miały przedziały z wygodnymi kanapami. Różniły się głównie kolorem obicia kanap. II klasa miała obicia ciemnozielone, I klasa – bordowe, no i przedziały były większe. Jeździliśmy II klasą, bo ojciec leczył również kolejarzy i z tego tytułu przysługiwały nam zniżki. Na całej trasie były piękne stacje, a zbudowany za Franciszka Józefa secesyjny dworzec w Stanisławowie z kopułą nad wysoką halą uznawano za najładniejszy w całej Galicji.

Już od Delatyna, gdzie zaczynały się letniska, przyjazd każdego pociągu witały i żegnały tłumy. Oprócz wycieczek w góry i kąpiele w Prucie w tych miejscowościach nie bardzo było co robić i stacje kolejowe stały się swoistymi salonami oraz miejscami radosnych powitań i czułych pożegnań. Na wysiadających z walizkami letników czekali na peronach numerowi. Byli to bagażowi, a nazywano ich numerowymi, bo był to ściśle licencjonowany zawód i każdy z nich nosił granatową okrągłą czapkę z daszkiem i ogromnym numerem. A kiedy pociąg odjeżdżał, wszyscy na peronie, a także pasażerowie w oknach krzyczeli: Hules! Hules! Hules! Nie rozumiałem tego ogólnie

stosowanego wzajemnego witania się i żegnania, póki mama na usilne moje pytanie nie wyjaśniła historii tego zwyczaju. Otóż pan Hules był jednym z żydowskich inżynierów w Stanisławowie i choć miał bardzo ładną żonę, to związał się z inną kobietą, a małżonkę zawiózł do Jaremczu i powiedział, żeby cierpliwie na niego czekała, bo za kilka dni do niej przyjedzie. Pani Hulesowa odczekała tydzień, a potem zaczęła codziennie wychodzić na stację i kiedy pociąg przyjeżdżał, szukając wśród przyjezdnych męża, głośno wołała: Hules! Hules! I choć wkrótce dowiedziała się o zdradzie męża, ciągle wierzyła, że on do niej wróci, przychodziła na dworzec i rozpaczliwie go zrywała. Aż w końcu dostała pomieszania zmysłów i utopiła się w Prucie.

Do Dory i Jaremczu jeździliśmy również dlatego, że najserdeczniejsi węgierscy przyjaciele mojej mamy mieli już tam swoje dacje. I tak w Jaremczu oprócz Niemców mieli piękną willę państwo Morvayowie. Doktor Lajos Morvay był węgierskim lekarzem, pochodził z tych samych stron co moja mama i dobrze się znali z czasów młodości. Kiedy Zakarpacie zostało przyznane Czechosłowacji, pan Morvay odmówił złożenia przysięgi na wierność nowym władzom, a ponieważ jego żoną była Polka, pani Marysia, przeniósł się do Polski, do miasteczka Tyśmienica w pobliżu Stanisławowa, skąd pochodziła jego żona. Oprócz tego w Dorze właśnie skończył budowę swojej willi najbliższy krewny mego ojca, też lekarz, doktor Adam Hickiewicz, który miał dwóch nieco młodszych ode mnie synów – moich kuzynów i najserdeczniejszych przyjaciół – Jurka i Wojtka, z którymi bardzo często się bawiłem. A w przypadku zaziębień i chorób z reguły leczył mnie wujek Adam, bo ojciec uważał, że lekarz nie powinien leczyć własnych dzieci. Mieliśmy się więc gdzie zatrzymywać i kogo odwiedzać, ale zawsze korzystaliśmy z pensjonatu pani Aliny Bonczarskiej, który znajdował się dokładnie między Dorą i Jaremczem, więc blisko było do wszystkich znajomych.

Był to duży, położony na stoku, tuż pod lasem, dwupiętrowy pensjonat zbudowany z bierwion w huculskim stylu, z ogromnym tarasem na parterze i werandami na piętrach. Trochę niżej biegły tory i szosa, a jeszcze niżej płynął Prut. A za Prutem,



na wprost, szczyt Makowicy. Rankiem nad doliną Prutu zawsze unosiła się mgła, ale w południe już się wylaniały w słońcu, hen, daleko, aż za Worochtą, najwyższe w całych Gorganach i Czarnohorze szczyty Pop Iwan oraz Howerla, o wysokości powyżej 2000 metrów. Marzyłem o tym, aby kiedyś tam wejść z wycieczkami, które wyruszały z naszego pensjonatu, ale byłem za mały na takie wyprawy. Musiało mi więc wystarczyć przypatrywanie się zawieszonej w jadalni panoramie Huculskich Beskidów i uczenie się nazw poszczególnych gór. Były to bardzo dziwne, wcale niebrzmące po polsku ani po rusińsku, ale szalenie podobające się mi nazwy: Ardżeluzza, Biebenieskul, Fenterale, Mundżel, Salatruka, Turkul i tak dalej. Nie były to też nazwy rumuńskie ani węgierskie, lecz oryginalne huculskie.

Tak się złożyło, że właśnie ten otaczający nasz elegancki pensjonat zupełnie inny świat huculski szalenie mnie wchłonął. Stało się tak, bo w pensjonacie pani Bonczarskiej nie miałem rówieśników, do Hickiewiczów nie zawsze chcieli się nam chodzić, a pod pensjonatem kręciło się trzech chłopców w moim wieku: Ilija, Michałko i Wasylko, synowie miejscowych Huculów, którzy opatrywali pensjonat w mleko i sery, jajka, grzyby, jagody, maliny i poziomki. Przychodzili rano z bańkami, koszykami i kobiałkami, dostawali od pani Aliny śniadanie i przesiadywali na schodach tarasu. Chodzili na bosaka, w długich portkach, w białych koszulach z długimi rękawami i w półkożuszkach Pokazywałem im swoje zabawki, a oni wyciągali zza pasków fujarki i grali kołomyjkę. Paniczyk ze Stanisławowa w krótkich spodenkach, białych skarpetkach i sandałkach oraz trzech bosych Huculów! A jednak z miejsca się polubiliśmy i niemal codziennie przed południem razem chodziliśmy do lasu i na połoniny, bez których „dla Hucula nie masz życia”. To oni pokazali mi sadzawki z czarnymi jaszczurkami, salamandrami i ogromnymi ropuchami, jakich nigdy potem w życiu nie widziałem. Oni nauczyli mnie odróżniać borówki i jagody od wilczych jagód, grzyby jadalne od trujących, padalce i zaskrońce od niebezpiecznych, zygzakowatych żmij.

Wesele huculskie

To razem z moimi Huculami poszliśmy na polanę powyżej pensjonatu, gdzie ojciec Michałka z jego braćmi ociosywali wycięte świerki i sosny. Kiedy się już nazbierało sporo pni, najstarszy brat Michałka, Jura, podchodził do opartej na trójnogu długiej trombity i dawał znak, że czekają na odpowiednią chwilę, aby je spuszczać specjalnym rowem w dół. Rów był płytki, dość szeroki i wyścielony odciętymi od pni sosnowymi gałęziami. Kiedy z dołu rozlegał się taki sam sygnał trombity, wtedy spychano ociosane pnie do rowu i mknęły one w dół przez wymurowane podkopy pod torami i drogą aż do samego Prutu. A tam wiązano je w daraby, bo tak mówiło się po huculsku na tratwy, i spławiano Prutem do tartaku w Delatynie. Dwa sygnały na trombicie z dołu oznaczały, że należy przerwać spuszczenie pni, bo coś stanęło na przeszkodzie. Trzy sygnały z góry; że już wszystko zeszło.

To Ilija zaprowadził mnie do swojej graźdy, czyli huculskiej zagrody otoczonej wysokim płotem z ułożonych jedno na drugim bierwion sosnowych. Wchodziło się przez ozdobną, krytą daszkiem bramę. Wewnątrz była chata, stodoła, stajnia, kurnik. Ściana w ścianę. Wszystko z ciosanego drewna. Wysokie ogrodzenie chroniło dobytek przed wilkami i złymi ludźmi, bo wśród Huculów



Hucul z kogutem



nie brakowało opryszków. Grażda to była mała twierdza. W izbie królował ogromny piec i legowiska przy ścianach. Na środku stał stół, a przy nim ławy. Posadzono mnie przy stole z całą dziesięcioosobową rodziną. Zwiżonym białym płótnem przetrąto blat, a następnie babcia Ilii wylała z dużego garnka na stół złociutką mamałygę, czyli potrawę z kaszki kukurydzianej. Kiedy mamałyga zastygła na stole, posypano ją pokruszoną bryndzą owczą i polano tłuszczem ze skwarkami. Do jednej ręki dostałem łyżkę, do drugiej gliniany garnuszek z kwaśnym mlekiem i wszyscy zaczęliśmy jeść. Z uwagą na mnie patrzono, ale ja z apetytem wcinałem mamałygę, która gładko odchodziła od stołu i bardzo mi smakowała. A i jedzenie prosto ze stołu, a nie z talerza, bardzo mi się podobało. Było to wystawne przyjęcie w podziękowaniu za kanapki, które dostawał rano Ilija w pensjonacie, bo na co dzień Huculowie jadali przeważnie mamałygę z mlekiem bez omasty, co wyjaśniła mi Katinka, kiedy jej zdałem dokładną relację z tego wydarzenia. Na drugi dzień mama wręczyła każdemu z moich huculskich przyjaciół tabliczkę czekolady, co sprawiło im ogromną radość.

Razem też chodziliśmy wykąpać się w Prucie, oczywiście pod opieką mamy, bo wartki prąd był bardzo niebezpieczny. Tu też różniliśmy się od siebie. Ja wkładałem kąpielówki, a oni rozbierali się do naga i tylko przewiązywali biodra wyciągniętym z kieszeni spodni sznurkiem, żeby było za co złapać, gdyby porwał ich prąd lub zaczęli się topić. To ostatnie jednak na odcinku Prutu

w Dorze nikomu nie groziło, gdyż rzeka była tu płytka, ale za to bardzo rwąca. Przede wszystkim trzeba było uważać, aby nie potłuc się o kamienie. Chwytałiśmy się więc za wystające z rzeki głazy lub zwisające nad brzegiem gałęzie wikliny i prąd utrzymywał nas na wodzie. Aby zanurzyć się po szyję lub popływać, trzeba było jechać aż pod wodospad w Jaremczu. Prut spadał tu ze skalnego progu wysokości ponad 20 metrów olbrzymią strugą. Pod uskokiem skały znajdowała się wyrzeźbiona przez spadającą rzekę głęboka i spokojna toń.

Do tej spokojnej toni z wysokiej skały skakali młodzi ludzie, nie tylko przyjezdni, ale również tutejsi Huculi. Te skoki były bardzo niebezpieczne i za każdym razem, kiedy skoczek wyłaniał się z wody, witano go oklaskami. Wodospad w Jaremczu od grzmotu wody nazywano Hukiem, ale często też polską Niagarą.

Huculi byli swoi i zarazem obcy, a na pewno inni. Uważali się za Polaków, ale przecież nie znali swoich korzeni, nie wiedzieli, skąd przyszli. Zamieszkiwali polskie, rumuńskie i słowackie Karpaty, które przed wiekami należały do Księstwa Halickiego i Wołoskiego, potem do Korony Polskiej oraz Węgierskiej, a w końcu do monarchii austro-węgierskiej. Jedni historycy uważali, iż byli odrębnym plemieniem, które przywędrowało w Karpaty w XIII wieku razem z Pieczyngami, inni byli zdania, że Huculi powstałi z mieszanek zamieszkałych tu Rusinów, Wołochów, Madziarów i Cyganów, a huculską wspólnotę ukształtowała natura. Góry, lasy, połoniny i rzeki. Odpowiedzi na to, która z tych koncepcji jest słuszna, nigdy nie ustalono. Byli plemieniem pasterskim, nade wszystko ceniącym wolność. Nie tworzyli osad ani wiejskich wspólnot, ich gospodarstwa były porzucane, a jeśli już były huculskie wsie, jak słynne w Polsce Żabie czy po drugiej stronie Karpat Rachowo, to ciągnęły się one kilometrami i zajmowały olbrzymi obszar, aby każdy miał swobodę. Huculi najgorzej znosili austriackie panowanie, kiedy na wiele lat wcielano ich do wojska. Uciekali wtedy w góry, tworzyli bandy, a jeden z przywódców, Ołeksa Dobosz, stał się w XIX wieku słynny niczym Janosik. Kogo złapa-

Most kolejowy nad Prutem w Jaremczu



no do wojska, ten szybko umierał z tęsknoty, co utrwalono w słynnej pieśni *Czerwony pas*:

*Dla Hucuła nie masz życia jak na poloninie,
gdy go losy w doły rzuca, wnet z tęsknoty ginie!*

W okresie dwudziestolecia państwo polskie niezwykle ulgowo potraktowało obowiązek służby wojskowej Hucułów. Było im więc w Polsce dobrze, a ich sztuką ludową – wyszywanymi kożuszkami, kapelusikami, kilimami, ceramiką, a zwłaszcza huculskimi pisankami – zaczęto się wręcz zachwycać. Huculskie pisanki obowiązkowo zdobiły nasze wielkanocne stoły.

Po raz ostatni pojechaliśmy na wakacje do Dory w 1938 roku. W marcu 1939 roku rozpadła się Czechosłowacja, Węgry na mocy arbitrażu wiedeńskiego odzyskały Ruś Podkarpacką i razem z Katinką pojechałem na ostatnie wakacje przed wojną w jej rodzinne strony, do wujka Arpada, który został wojewodą aż trzech graniczących z Polską komitatów: Ugocsy, Beregu i Ungvaru.

Wrzesień 1939 roku zapoczątkował zagładę Hucułów. Obronili się wprawdzie w czasie I wojny światowej, mimo że na ich terenach w Karpatach przez trzy lata od Kołomyi po Rafałową toczyły się zacięte walki między wojskami rosyjskimi i austriackimi, po których stronie właśnie na tym froncie znalazła się II Brygada Legionów Polskich. II wojna światowa miała wszakże totalny charakter. Władza radziecka po zajęciu Karpat natychmiast zorganizowała masowy wyrąb lasów. Kilka tysięcy Hucułów, w tym również kobiety i dzieci, zapędzono do bezpłatnej i prawie karnej pracy przy wycinaniu drzew. A że zima 1939 roku przyszła wcześniej, a i następne, w 1940 oraz 1941 roku, były niezwykle ostre, więc wielu z nich pozamarzało, a ci, którzy uciekli, byli wyłapywani i wywożeni na Sybir. Grabież lasów trwała aż do wkroczenia Niemców, a drewno wywożono oczywiście do ZSRR. Podczas okupacji z kolei Niemcy, w ramach tworzenia ukraińskiej dywizji SS „Galizien”, wpadli na pomysł utworzenia huculskiego batalionu, co z kolei po powrocie Sowieców spowodowało kolejne prześladowanie. Hu-



Wodospad „Huk”

cułów znów zaczęto wywozić, a pozostałych – każdego, kto mógł pracować – zapędzono do wyrębu lasów na niespotykaną skalę, bezprzykładnej grabieży, która zakłóciła wkrótce równowagę ekologiczną. To wtedy wycięto największy w Europie rezerwat cisów koło Kołomyi – ponad 200 000 wspaniałych, starych okazów. Po puszczy pozostały tyse zbocza pokryte pieńkami wyciętych drzew. Zniszczono również Prut. Oddziały Wojska Polskiego wycofujące się we wrześniu 1939 roku przez Jaremcze na Węgry oszczędziły słynny wiadukt, ale w czerwcu 1941 Armia Czerwona nie miała już litości i wysadziła go w powietrze. A potem, w latach pięćdziesiątych, z zupełnie niezrozumiałych powodów kilkakrotnie wysadzano wysoki próg skalny wodospadu w Jaremczu i Prut zaczął spływać jak po rynnie z kilkoma kaskadami. Po wspaniałym cudzie natury, jakim był wodospad w Jaremczu, śladu nie zostało. A i wiaduktu nie odbudowano. Przerzucono natomiast drewniany mostek nad Prutem, w miejscu gdzie był wodospad, a na brzegu urządzono huculskie targowisko.

Po latach władzy radzieckiej cała Huculszczyzna wraz z Karpatami przez blisko pół wieku znajdowały się w ściśle zamkniętej strefie wojskowej z wycelowanymi w Europę rakietami, całkowicie izolowane od świata; po transformacji i już głównie za niepodległej Ukrainy powoli się odradza. Bo Huculi to twarde plemię, jak każdy górski naród. To wiem na pewno. Nigdy się jednak nie dowiem, jakie były losy huculskich przyjaciół mojego dzieciństwa: Ilii, Michałka i Wasylka.

Fragment książki wspomnieniowej Tadeusza Olszańskiego *Kresy Kresów. Stanisławów*.

Karolina Grodziska

Co palić? Czym palić?

Henryk Greb o problemach z zaopatrzeniem we Lwowie zimą 1943 roku

W poprzednim numerze „Cracovia–Leopolis” przypomnieliśmy prawnika i poetę Henryka Greba (1916–1956) publikującego w „Gazecie Lwowskiej” w rubryce „Na dzień dobry” w latach 1942–1943, a równocześnie udzielającego się w konspiracyjnej literackiej grupie „Żagiew”. Jego wiersze – te publikowane oficjalnie – to również obraz lwowskiej wojennej rzeczywistości, satyra – ale też zabawa z cenzurą, często puszczenie oka do czytelnika. Humor gorzki, ale i krzepiący, podtrzymujący w najtrudniejszych czasach na duchu.

Tytułowe pytanie: „Co palić?” dotyczyło zarówno miłośników tytoniu, jak i – szerzej – ogrzewania. A zima 1942/1943 roku była bardzo surowa. Zatem przypomnijmy raz jeszcze niezwykły lwowski humor, obecny w wierszach Henryka Greba.

NA ULICY KOPERNIKA

Na ulicy Kopernika
Stała panna bez bucika,
Gdy ujrzeli to ludziska,
Podchodzili do niej z bliska
I szeptali w zgodne chóry:
„Ta ma jeszcze but ze skóry!”

Na ulicy Nabelaka
Siedział chłopak bez drewniaka,
Wtem nadchodzi jego krewniak,
Pyta: „Chłopcze! Gdzie twój drewniak!?”
Chłopak jęknął pośród chryпки:
„Mama z niego robi szczyпки!”

„Gazeta Lwowska” 1943, nr 1 (31 XII 1942 i 1–2 I 1943)

ROZSTRZYGNIĘTY SPÓR

Para butów skórzanych i para drewniaków
Spierały się na temat swych zalet i braków.
Jedna była zaś kwestia ciągle roztrząsana:
Które z nich więcej ciepła dają nogom pana.
Raz, w styczniu, w mróz siarczysty, wrócił pan do domu
Zdjął buciki w kąć rzucił, aż pękły od sromu
I klnąc niby dorożkarz, na kość zmarzły cały
Grzejąc stopy, w piec cisnął – drewniane sandały.

I szepnął chłonnąc ciepło płonących chodaków”
„Nic tak ogrzać nie zdoła, jak... para drewniaków!”

„Gazeta Lwowska” 1943, nr 8 (10–11 I)

CIEPŁA NOC

Gdy w środę mróz się wzmagał, zimno rosnęło, krzepło,
Rzekłem sobie: „Tej nocy musi mi być ciepło!”

Napaliwszy w piecyku szczątkami choinki,
Zbędną nogą od stołu, „Historią” Kalinki,
Rozpocząłem z zapalonym przysposabiać łożko.
Dwie cegły rozpalone znikły pod poduszką.
Potem ległem wygodnie z wiernym psem Cyklopem,
Wzdłuż ciała umieszczając butelki z ukropem.
Do piersi przygarnąłem kociaka sąsiadki,
Narzuciłem trzy płaszcze na kołderkę w kratki
I wypiwszy wódeczki dużych szklanic parę,
Wnet usnąłem czytając: „Podróż przez Saharę”.

Nad ranem... nie pytajcie, sam wszystko opowiem –
Zbudziłem się wśród jęków, z tęnym bólem w głowie.
Leżałem bez okrycia dygocząc od chłodu,
Rozlana woda ścisła mnie pancierzem z lodu.
Rozgniecione butelki poraniły ciało,
Miłe kocię sąsiadki twarz mi podrapało,
Cyklop znikł razem z kołdrą, wpiersz okno wybiwszy,
A przez otwór w twarz sypał śnieżek najprawdziwszy.
Gdy usiadłem, by spisać swój nieszczęsny lament,
Stwierdziłem, że i mózg mój zamarznął mi na amen!

„Gazeta Lwowska” 1943, nr 20 (4 II)

CO PALIĆ

Co palić, gdy forszą pęka portfel gruby?
Kluby... Kluby... Kluby...
Przy bridżu i winach najprzedniejszej sorty?
Sporty... Sporty... Sporty...
Po sutej kolacji dziesięciodaniowej?
Machorkowe... Machorkowe... Machorkowe...
Co wreszcie otrzeźwi, gdy człek w sztok urżnięty?
Lewenty... Lewenty... Lewenty...
Co palisz w istocie, człeku, w każdy ranek?
Rumianek... Rumianek...
Co wciągasz, gdyś goły, jak turecki święty?
Liść mięty... Liść mięty...
Co krzepi, gdy jeść chce najmłodsza pociecha?
Liść orzecha... Liść orzecha... Liść orzecha...
Jakie ćmisz najchętniej? (Kończę bo cię znudzę)
Cudze... Cudze... Cudze...

„Gazeta Lwowska” 1943, nr 31 (6 II)

Jacek Jedliński

Wspomnienia (fragmenty)

Dr Jacek Jedliński, autor zamieszczonych wspomnień, brat mojej matki, urodził się w 1899 roku we Lwowie i tam spędził młodość. Na Uniwersytecie Jana Kazimierza ukończył prawo i polonistykę. Pracował jako nauczyciel w średnich szkołach humanistycznych. W latach trzydziestych był dyrektorem Szkoły Technicznej w Warszawie, a następnie dyrektorem szkół średnich w Turce, Solcu nad Wisłą i w Olkusz. W czasie okupacji znalazł się na emigracji w Rumunii i tam w Camplung Muscel w 1939 roku założył pierwszą polską szkołę. Po wojnie, jak wielu lwowiaków, szukał nowego miejsca i w 1945 roku osiadł w Makowie Podhalańskim. Mówił, że *te góry makowskie podobne są do naszych huculskich*. W Makowie zorganizował Gimnazjum im. T. Kościuszki i przez dziewięć lat był jego dyrektorem. Pasjonowały go sprawy regionu, praca społeczna i kulturalno-oświatowa. Został współzałożycielem Towarzystwa Przyjaciół Makowa, założycielem szkolnego teatru, organizatorem licznych spotkań z pisarzami. W 1954 roku rozpoczął pracę w Państwowej Służbie Archiwalnej. Został kierownikiem Państwowego Archiwum Powiatowego w Jędrzejowie. Archiwum znajdowało się w klasztorze ojców Cystersów. Tam też zamieszkał i dobrze się czuł wśród przyjaciół zakonników, ludzi wykształconych, o światłych umysłach. Nie ograniczał się do samej pracy z aktami w archiwum. Przemierzył „Archiwalnym Dylizansem” ziemię świętokrzyską w cyklu felietonów historycznych. Zmarł w Krakowie 19 lipca 1965 r.

Moje osobiste wspomnienia dotyczące wuja przepełnione są wdzięcznością za pomoc, której udzielił mojej mamie, mnie i moim siostram. W grudniu 1945 roku wyjechałyśmy, w ramach ekspatriacji, ze Lwowa wagonem towarowym w nieznaną. Dojechaliśmy do końca, do Katowic. Mama szukała przez Polski Czerwony Krzyż kogoś z rodziny. Jednak w Krakowie nas nie przyjęto, mówiąc: *Zosiu, z trojgiem dzieci to niemożliwe*. Na szczęście odnaleziony brat mamy, Jacek Jedliński, powiedział: *Weź te dzieci, ile ich masz i przyjeźdź*. Przyjechaliśmy do wuja do Makowa, który nas przyjął. Choć sam posiadał niewiele – pokój z kuchnią na poddaszu, w którym mieszkał z dwoma synami, podzielił się tym, co miał. Był dobrym człowiekiem.

Marta Walczewska

Zima... Niepokalana białość śniegu przybiera miejscami odcień filetu. Jeszcze jedna góra. Droga się wiję spadzistym zygzakiem. Już dochodzimy szczytu... Konie parszczą wesoło. Buchają kłęby pary. Po lewej stronie, w wieńcu oszronionych topoli, stoi drewniana cerkiewka z charakterystyczną dla Podola dzwonnica. Przed nami dolina. Sponad maleńkich, krytych słomą strzech unoszą się dymy. Wjeżdżamy na mostek z zamarznąłą rzeką. Głuchy tupot końskich kopyt wywabia wielkiego psa. Dunder biegnie na powitanie. Suniemy koło parku. Po prawej stronie kapliczka. Po lewej ekonomiczna bokówka. A oto wrota otwarte szeroko. Na ganek wychodzi kochany wuj Józef Podoski, nadbiega wujenka. Powitania. Matka uradowana prezentuje syna Jaka. Urodzony we Lwowie 31 stycznia 1899 roku liczy już dzisiaj trzy latka!

(...)

On wymodlony przez prababkę Madeyską, po kądzieli przez Gostwickich, krewny świętego apostoła Odrowąża, dwóch właściwie: św. Jacka i bł. Czesława... Bo właściwie, co tu wiele mówić, miała się narodzić po Maryli, Jance, Wisi i Oldze jeszcze jedna dziewczynka. Tymczasem, z ojca Ludwika i matki Eugenii z Majewskich, rodzi się syn – duma rodziców i chluba domu.

(...)

Karmiony baśniami żyłem w świecie Czerwonego Kapturka, Jasia i Małgosi czy 40 zbójców, jak w lesie, wonnym, gęstym, urodzajnym.

Złudę życia pogłębiała złuda teatru... *Peer Gynt* zaczarował młodzieńczą wyobraźnię. „Jam jest pan, jam jest król, wśród zielonych łąk i pól” kołysało mnie do snu

na aromatycznym podścielisku wonnego siana, w tajemniczej gęstwinie dworskiego parku w Perepelnikach, kolebce poetyckiej Wolskich, wśród bezbrzeżnych, złotem malowanych łąnów podolskiej pszenicy...

W pokoju dzieciennym był portret królowej Jadwigi i wizerunek Sobieskich, a wzniesiona aktualnie na placu Mariackim we Lwowie kolumna Mickiewicza była powodem domowej tragedii: na stosie poduszek obok pieca stał mały „Mickiewicz” udrapowany w prześcieradłach. Wtem rozsunęły się krzesła i kandydat na wieszca zjechał niepoetycznie na ziemię. Oczywista, o płaczu ani mowy. Nie wypadają, szczególnie wobec widowni (...), którą stanowiły siostry. Ale synuś podchodzi do ojca i składa głowę na jego kolanach... Tymczasem spod gęstych czarnych włosów przedostaje się krew. Upadek z piedestału, w gronie i na łonie rodziny, nie był bynajmniej bolesny, ileż cięższe rany odnosiło się potem w bojach ulicznych i polowaniach ogrodowych w gromadach urwpołciów spod ciemnej gwiazdy. „Szepetławy” Józek z Szeptyckich 24 rani naszego bohatera kamieniem w skroń. Może by się to i ukryło, ale do zatamowania trzeba było dopiero dobrej matczynej pomocy. Do upadku z poręczy w czasie jazdy zakazanej z pierwszego piętra na betonową podłogę sieni – nigdy się nie przyznałem. Dobrze, że sień przy Bema 27 była nieco ciemna, bo długi czas dosłownie nie mogłem pozierać kości. Ujawnienie przestępstwa groziło karą największą: latem lub zimą – niewyjazdem do Perepelnik, jesienią – zostaniem w domu, zamiast pójścia z ojcem otoczonym gromadką dzieci (raczej: dziewcząt) na kasztany na ulicę 29 Listopada lub do Pojezuickiego Ogrodu.

(...)

Ukończyłem właśnie piątą klasę gimnazjalną (1914), kiedy na horyzoncie europejskim zaczęły się gromadzić chmury. Bawiłem wtedy w Spasie za Samborem na wakacjach, kiedy nas doszła wieść o wybuchu wojny. Zamknęła się epoka mojego chłopięctwa, brutalnie i nagle: bo chociaż w skrupulatnym mym sumieniu wielu doszukiwałem się win (inaczej patrzę na nie dziś), to przecie jednak, używając określenia starszego wychowanka naszego zakładu, Kornela Makuszyńskiego, były to „bezgrzeszne lata”... Pochła-

nia mnie życie wegetatywne w najszerszym tego określenia znaczeniu. Ale jakże niedawno byłem duchowo czasom, kiedy nabożnie całowało się w rękę i mówiło paciorek przed św. Mikołajem, przeżywało tragedie Winnetou i napaści czerwonoskórych na dylizansę (tyle że było mi dane oglądać autentycznego Buffalo Billa...).

Manifest cesarski (*Do Moich Ludów*), mobilizacja, transporty, klęski i zwycięstwa, okrzyki i wrzawa idącej Nowej Epoki porwały w swój wir przedwcześnie wysubtelnioną moją organizację psychiczną. Surowszy się staje regulamin domowy. Kiedy jedni walczą i giną, krwawiąc – nie wolno nikomu zażywać *dolce far niente*. Głosi z apostołskim entuzjazmem Ojciec. Trudno mi tu nie wyrazić najgłębszej wdzięczności dla Rodziców, którzy twardo postawili to hasło i konsekwentnie, z miejsca mnie wystali na roboty rolne. Tyle koncesji udało się nam wyjednać, że pojechaliśmy z Romkiem do Podmonasterza (pod Bóbrką) pomagać w gospodarstwie znajomym Zawalkiewiczom.

Wiara w Austrię (dziś powiedzielibyśmy – propaganda) była tak silna, że ani nam przez myśl nie przeszło, że idziemy na linię ognia. Tymczasem „nasze dzielne wojska wykonały strategiczny obrót” i cudem niemal strzelec – Romek i harcerz – Jacek, przedostaliśmy się do Lwowa tuż przed wkroczeniem Moskali. Wypadki potoczyły się błyskawicą. Okresu tego, niezapomnianych przeżyć, wędrówki spod Bóbrki pod Lwów, klęski i ucieczki wojsk austriackich, miasta bez pana, wkroczenia (wrzesień 1914) wojsk rosyjskich – osobno tu nie opisuję, jako że wyszedłbym daleko poza zakreślone ramy wspomnień z mego arcybogatego we wrażenia życia.

Przywarowaliśmy nieco, ale nie na długo. Nocą, przy warkocie bębna, ogłasza imieniem Prezydium miasta wuj Włodzimierski rozkaz o oddaniu broni. A mieliśmy śliczną kolekcję staropolskich pistoletów przechowywanych z pietyzmem przez dziadka Wojciecha Żółkiewicza. Padły ofiarą wojny, jak i pierwsza księga pamiątkowa, uratowana z ucieczki, ale spalona potem w obawie rewizyj.

(...)

W jesieni 1914 roku byłem zajęty przy robotach ziemnych. Jak światłym i mądrym są urządzeniem (20 lat potem) bataliony pracy. Gdzież lepiej i silniej poznaje się człowieka, uczy się cenić pracę, każdą pracę – i brata widzieć w proletariatuszu?

W zimie 1914/15 oddaje mnie ojciec do warsztatu. Tu poznałem z bliska robotnika lwowskiego. Nie jestem dość silny, więc przydzielają mnie do kantoru fabrycznego i dają zlecenia handlowe. Cieszę się zaufaniem firmy, która powierza młodzieńcowi znaczne sumy. Zadowoleni są Rodzice, Pryncypał, ja sam wreszcie...

Niepoprawny romantyk, w okolicznościach i warunkach przecie prozaicznych, zakochuję się w Oleńce. (...) Przy kasie miewała dyżur urocza córka fabrykanta, stworzenie młode i romantyczne równie jak jej papierowa ofiara... Wieczorami miewała dyżur w kasie firmy i znalazła zawsze okazję, by wsunąć mi w rękę karteczkę z lirykami Tetmajera, naprawdę przepięknymi. (...)

W czerwcu 1915 umiera Dziadek Żółkiewicz, żołnierz 1863 roku, jak skromnie głosił plakat. W krótki czas potem wkraczają do Lwowa wojska austriackie. Staraniem TNSW powstają kursy wakacyjne (w Towarzystwie Muzycznym na ul. Chorążczyzny), abyśmy mogli nadrobić rok dla szkoły stracony, który tyle jednak nam dał dla życia... Pracujemy intensywnie, nie tyle jednak, aby nie mieć czasu i okazji do przechadzek z dziewczętami...

Przyjeżdżają na urlop starsi koledzy z wojska, my z Marianem zgłaszamy się do Legionów. Odraczają moje przyjęcie do czasu ukończenia studiów. Marian, jako starszy, przywdziewa mundur. (...) Do Legionów poszli też moi przełożeni i starsi koledzy z harcerstwa, z czwartej drużyny (drużynowy Gibers i zastępowy Szymański). Kolega Borysławski przyjeżdża na urlop jako ułan Beliny (co za wspaniałe czako!), kolega Siciński służy jako „einjähriger Freiwilliger mit Gewalt genommen” w ck armii... Dyskutuje jeszcze na tematy polityczne z kole-

gą Krukowskim, ale potem... coraz ubożej w świecie ducha.

Odizolowanie kompletne na rzecz przyjemnostek gromadzkich tzw. „hebry”, grupy młodzieży z jednej dzielnicy. Ja chociażby, a zapewne i inni, czuliśmy potrzebę jakiejś pracy dla Polski. Przecie piękną a skromną składaliśmy jej daninę w naszych dyscyplinowanych szeregach „Skauta”. Tutaj przeszedłem wszystkie stopnie wyszkolenia, łącznie z musztrą wojskową i to z prawdziwym karabinem. Był to też tytuł do dumy, ale się o tym nie mówiło. Młodzi umieją być zadziwiająco dyskretni.

Ćwiczyliśmy w szatni, w podziemiach Sokoła, w lokalu na górze odbywały się niewinne pogadanki. Czytaliśmy społem (nawet referowałem potem) *Rok 1863* Bolesława Limanowskiego. Oczywiście, poza Sokołem nie mogliśmy się pokazywać z bronią w rękach, a ćwiczenia karabinem na wycieczkach skautowskich markowaliśmy „kijem harcerskim”.

(...) Wychowanie wojskowe bardzo wiele mi dało i mimo najbardziej pacyfistycznego na świat spojżenia, uważam za wskazane i konieczne dla młodych ludzi przejście przez tę twardą szkołę życia: wysiłku, głodu, czujności, opanowania, roztropności, orientacji, wzajemnej pomocy, wreszcie posłuchu, aby w potrzebie umieć przewodzić i rozkazywać. (...) Korzystałem z niego potem w wojsku austriackim (w szkole oficerskiej w Karniowie) i niejednokrotnie na froncie ukraińskim i białoruskim (w 1920 roku).

(...)

W związku z przedwczesnym powołaniem do wojska już w marcu 1917 r. przystępuję i zdaję jednogłośnie egzamin maturalny. Dzięki lotnej inteligencji i tremie „doskonalej” zadziwiam profesorów trafnością i dojrzałością odpowiedzi, orientacji, sądów, chociaż bynajmniej pamięciowych nie mam zdolności.

Jakie to wszystko bliskie – jakie zarazem dalekie... Łzy Matki, wzruszenie Ojca, gratulacje Sióstr. Mam odbyć przeszkolenie we Lwowie. To osładza wojskową niedolę. Wracamy z Ojcem od fotografa. Smętne mam oblicze. Ojciec ukradkiem ociera łzy.

W podhoreckim zamku...



Pałac w Podhorcach jest od dawna uważany – stwierdzają Jan Ostrowski i Jerzy Petrus – za jedną z najwspanialszych rezydencji staropolskich. Związki z wybitnymi postaciami historycznymi, przepiękne położenie na północnym stoku płyty podolskiej, wysoka jakość architektury i dekoracji, wreszcie przebogate zbiory złożyły się na całość, która już w XIX wieku stała się legendą. Największą wartością Podhorzec było przetrwanie wewnątrz pałacowych aż do I wojny światowej w stanie, który sprawiał wrażenie niezmiennego od czasów przed-rozbiorowych¹.

Choć położenie podhoreckiego zamku, jego najbliższe otoczenie i niemałej urody architektura zniewalały, nie należał w swojej elegancji do miejsc na pograniczu Wołynia i Podola odosobnionych. Choć ziemie te obfitowały w malowniczo położone, na miejscowych lesistych wzniesieniach zamki w Olesku, Krzemieńcu, warowny klasztor w Podkamieniu czy potężną ławrę poczajowską – zamek w Podhorcach był wśród nich osobliwością.

Najstarsze wzmianki o Podhorcach pochodzą z 1440 roku. Od 1633 stanowiły one

własność hetmana Stanisława Koniecpolskiego, od 1682 – Sobieskich, od 1720 – Rzewuskich, a następnie od 1865 do czasu wybuchu II wojny światowej – rodziny Sanguszków. Tutejszy zamek Koniecpolskich, zwany niegdyś Wersalem Podola, zbudowany w latach 1637–41 wg projektu Andrea dell Aqua, należał do najpiękniejszych rezydencji możnowładczych w Rzeczypospolitej, najsłynniejszej urządzonych, był też wyjątkowo atrakcyjnie wpisany w malowniczy pejzaż, tworząc z parkiem i zbudowanym w XVIII w. kościołem rozległe założenie pałacowo-parkowe. Zrąb pałacu był gotowy w roku 1641, ale prace wykończeniowe i dekoracyjne trwały jeszcze ponad dwadzieścia lat. Prowadzili je: syn hetmana Aleksander i wnuk – Stanisław Koniecpolski. Pałac usytuowany w fortyficyjnie i urzędowo dwukondygnacyjny. Budowany i urządzany ściśle wg planu, stał się rychło pomnikiem chwały rodu. Celowi temu służył m.in. program malowideł na stropach sal I piętra, ujętych w monumentalne, bogato rzeźbione i złoczone ramy. Co najmniej część tych obrazów wykonał Jan de Baan, a przedstawiały one zasługi wojenne i dyplomatyczne sławnego hetmana. Pomieszczenia reprezentacyjne mieściły się na I piętrze, dostępnym wprost z tarasów fortyfikacyjnych. Część zachodnia służyła jako pomieszczenia oficjalne,

¹ Jan K. Ostrowski, Jerzy T. Petrus, *Podhorce. Dzieje wnętrz pałacowych i galerii obrazów*, Kraków 2001, s. 7

Między kolumnami portyku a wejściem do kościoła

wschodnią stanowiły apartamenty prywatne właścicieli zamku.

Pałac został wzniesiony głównie w oparciu o wzorce francuskie z XVI i XVII wieku. W 1682 r. Stanisław Koniecpolski junior zapisał latyfundium brodzkie wraz z Podhorcami królewiczowi Jakubowi Sobieskiemu, ale ostatecznie trafiły one do młodszego królewskiego syna – Konstantego, który w 1720 r. sprzedał zamek wraz z dobrami hetmanowi Stanisławowi Mateuszowi Rzewuskiemu. W latach 1720–29, na zlecenie hetmana Stanisława Rzewuskiego, dobudowano trzecią kondygnację zamku. Staraniem jego syna, Wacława, wykonane zostały prace wykończeniowe i dekoracyjne (malowidła stropowe, bogata dekoracja pokoi, nazywanych zazwyczaj od barwy ścian bądź charakteru urzędu). Po internowaniu Wacława Rzewuskiego przez Rosjan w 1767 r. i wywiezieniu go do Kaługi zamek przez wiele lat niezamieszkały przez właścicieli zaczął popadać w zaniedbanie. Wacław Rzewuski nie wrócił już nigdy do Podhorców. Na kil-



ka tygodni przed jego wywiezieniem wraz z kilkoma przywódcami konfederacji barskiej sporządzony został pierwszy znany inwentarz obrazów w Podhorcach. Syn Wacława, Seweryn, zapisał się niechlubnie w historii Polski jako targowiczanie. We wnętrzach odnowionego i nadbudowanego pałacu powstała wielka galeria malarstwa, licząca ponad 500 płócien, głównie pędzla miejscowych malarzy oraz kopie sławnych mistrzów, zwłaszcza włoskich i flamandzkich. Z tego okresu pochodził zasadniczy człon ogromnej podhoreckiej kolekcji dotyczącej polskiej sceny politycznej czy cykl portretów władców krajów europejskich.

Hetman bieglejszy w arkadach sztuki – stwierdza Roman Marcinek – niż sprawach wojskowych, zgromadził tu cenne księgi i manuskrypty, urządził imponującą zbiorownię, zebrał liczne pamiątki po Sobieskich. Podhorecka galeria obrazów budziła respekt ówczesnych, którym nie były obce takie nazwiska jak Rembrandt, Tycjan czy van Dyck. Perłą był przede wszystkim „Miłosierny Samarytanin” J. Jordaensa. Niestety, kiedy do „hetmańskich arcydzieł” zabrali się uczeni wyposażeni w „szkiełko i oko”, okazało się, że przytłaczająca większość kolekcji to kopie, i to kiepskie. Nie umniejsza to jednak wagi galerii jako ośrodka promieniującego na inne kresowe pałace. Imponujący był



Kościół zamkowy

zwłaszcza wspinały zbiór portretów magnackich, którymi – zgodnie z ówczesną modą – szczerlnie obwieszono ściany pokoi: Karmazynowego, Złotego, Żółtego czy Zielonego².

Na dworze Rzewuskich pracował w latach 1762–67 Szymon Czechowicz, który zostawił tam ponad sto swoich obrazów, głównie do Sali Zielonej. Kiedy Waclaw Rzewuski powrócił z zesłania, Podhorce należały już – w wyniku I rozbioru – do monarchii austriackiej. W 1833 r. osiadł w Podhorcach Leon Rzewuski, który przystąpił do prac remontowo-zabezpieczających oraz opracowania katalogu zamkowych zbiorów (w tym także rodzinnego archiwum) w duchu romantycznego historyzmu. W 1865 r. sprzedał on zamek wraz z dobrami Sanguszkom, którzy rychło przystąpili do odnowienia rezydencji i urządzenia w niej bogatej ekspozycji militariów, pamiątek po Sobieskich, wreszcie kolekcji dzieł sztuki. Dzięki zabiegom nowych właścicieli na początku XX w. kolekcja przetrwała nieomal taką, jaką ją pozostawił Waclaw Rzewuski. Zamek podhorecki był naówczas najlepiej zachowaną staropolską rezydencją, pomnikiem kultury narodowej, którego zbiory Sanguszkowie udostępnili do zwiedzania, także dla licznie tu przybywających turystów. Podczas I wojny światowej, kiedy Podhorce znajdowały się w strefie przyfrontowej, część zbiorów zamkowych zrabowano, wywieziono w głąb Rosji, inne ewakuowano do rezydencji Sanguszków w Gumniskach koło Tarnowa. Po zakończeniu działań wojennych tylko część z nich powróciła do Podhorców. W okresie międzywojennym zamek z bogatymi wciąż zasobami znalazł się pod opieką lwowskiego Muzeum Narodowego. W związku z 250. rocznicą odsieczy wiedeńskiej pałac został odnowiony, urządzone nową ekspozycję, która w 1939 r. obejmowała 396 obrazów. We wrześniu 1939 r. ostatni właściciel zamku, Roman Sanguszko, dosłownie w ostatniej chwili ewakuował co cenniejsze zbiory z Podhorców i Gumnisk do Rumunii, a następnie, przez kilka krajów europejskich – do Brazylii. Najcenniejsze dzieło galerii *Miłośnierny Samarytanin* Jordaensa (malowany ok. 1616 r.) oraz portret królewicza Jakuba

Ludwika Sobieskiego pędzla Jeane’a François de Torcy z 1699 r. należą do Fundacji Sanguszków w San Paulo³. Okupacja sowiecka oznaczała dla zamkowych zasobów rabunek, dewastację i dezintegrację. Część kolekcji skonfiskowana przez władze przekazana została do Muzeum Historycznego we Lwowie, a następnie podzielona i uległa znacznemu rozproszeniu. Obecnie większość zachowanych płócien należy do Lwowskiej Galerii Obrazów. Część obrazów, które w okresie I wojny światowej zostały przewiezione do Gumnisk, została po wojnie przejęta przez Muzeum Okręgowe w Tarnowie, a archiwum Rzewuskich i Sanguszków przechowywane jest na Wawelu. Bez mała trzysta obrazów pochodzących z zamku podhoreckiego znajduje się obecnie w zasobach muzealnych Lwowa i Tarnowa, a w nieznanym stopniu także w innych muzeach i zbiorach prywatnych. Tragiczne były losy zamku w radzieckiej Ukrainie, kiedy rezydencję zamieniono na szpital-sanatorium dla chorych na płuca. Zamkowe komnaty podzielono na mniejsze pomieszczenia. Niewłaściwie eksploatowane wnętrza pałacowe niszczyły straszliwie, a pożar, który w połowie lat 50. strawił wspinałe stropy pierwszego piętra, dopełnił dzieła dewa-



Bastion zamkowy

² Roman Marcinek, *Kresy Wschodnie*, Kraków 2002, s. 28



Jedna z figur zwierczających portyk kolumnowy kościoła

stacji. W 1997 r. cenny, choć mocno zniszczony zabytek, przejęła Lwowska Galeria Obrazów. Wyburzono powojenne prowizoryczne ściany, przywracając zamkowi dawną strukturę wnętrza. Dalszemu, prowadzonemu od schyłku XX wieku porządkowaniu zamku i galerii w Podhorcach

bez wątpienia służyć będzie wspomniana już gruntownie udokumentowana książka Jana Ostrowskiego i Jerzego Petrusa, z rzetelnie opracowanymi katalogami i ikonografią.

Pobliski kościół zamkowy, usytuowany na osi alei prowadzącej do zamku, znacznie powyżej zamkowych murów, zbudowany został staraniem Wacława Rzewuskiego w latach 1752–1766 wg projektu Karola Romanusa. Wzniesiony na planie rotundy, nakryty kopułą zwieńczoną niewielką latarnią, posiada od frontu efektowny monumentalny klasycystyczny portyk kolumnowy, na którego szczycie znajdują się figury świętych dłuta Sebastiana Fesingera. Bogata dekoracja malarska wnętrza jest dziełem m.in. Łukasza i Antoniego Smuglewiczów oraz malarzy żółkiewskich i lwowskich. Wypożyczenie stolarskie i snycerskie kościoła wy-

konał w latach 1761–65 Marcin Twardowski z Mikuliniec. Początkowo kościół służył jako świątynia zamkowa, w 1861 r. otrzymał status kościoła parafialnego. W lipcu 1944 r. został uszkodzony i splądrowany. Mimo kilkakrotnie podejmowanych prac remontowych stopniowo popadał w ruinę. Od 1991 r. znalazł się także w gestii Lwowskiej Galerii Obrazów. Podjęte w tej świątyni i pobliskim zamku prace remontowe pozwalają wnosić, że obiektom tym uda się przywrócić choć część dawnej świetności, a w zamkowych komnatach umieścić zachowaną w państwie ukraińskim, w stanie dalekim od kompletności, kolekcję obrazów.

W Podhorcach od wczesnego średniowiecza istniał w dawnym grodzie Pleśńisko monaster prawosławny, z czasem – po przyjęciu unii – greckokatolicki. Obecna cerkiew bazylikańska pochodzi z ok. 1726 r., a wystrój jej wnętrza dowodzi bliskich kontaktów artystycznych obrządku łacińskiego i unickiego. Ikonostas w cerkwi został zaprojektowany przez jezuitę Pawła Giżyckiego, a wykonany przez rzeźbiarza Stefana z Krzemieńca; są też w tej cerkwi typowo łacińskie elementy wystroju – ołtarze boczne i ambona. Zbudowany obok cerkwi klasztor bazylianów pochodzi z końca XVIII wieku. Po II wojnie światowej usunięto bazylianów z Pleśniska, a ich klasztor zamieniony został na sanatorium dla gruźlików. W następstwie legalizacji Kościoła unickiego w 1989 r. bazylianie powrócili do swojego klasztoru.

Fot. Janusz M. Paluch



Zbigniew Wawszczak

Lwowiak z brygady spadochronowej Sosabowskiego

Nigdy nie przypuszczałem, że u schyłku mojej pracy zawodowej i życia odbędę kilkakrotnie podróż do Kalifornii, najdalej na zachód położonej części USA.

Ponad 40 lat po ukończeniu studiów na UJ pracowałem jako reporter, publicysta w Regionalnej Rozgłośni Polskiego Radia Rzeszów. Niemal przez cały czas współpracowałem z ukazującymi się w Rzeszowie tytułami prasowymi, dziennikiem „Nowiny Rzeszowskie”, który od czasu upadku PRL w 1989 r. zachował tylko pierwsze słowo z tytułu „Nowiny”, tygodnikami „Widnokrąg” i „Prometej”, miesięcznikiem „Profile”, zajmując się szeroko pojmowaną tematyką kulturalno-historyczną.

W roku 1978 z powodów politycznych zostałem wyrzucony z radia. Powrót nastąpił dopiero po 12 latach, po zmianie systemu politycznego w kraju. W jakiś czas po przywróceniu do pracy w Polskim Radiu Rzeszów wprowadziłem do programu stałą audycję poświęconą Kresom Wschodnim, do których odnoszę się z wielkim sentymentem – urodziłem się i wychowałem na niezapomnianej Huculszczyźnie.

W 2003 r. otrzymałem zaproszenie od córki Katarzyny, która wyszła za mąż za poznanego na Akademii Medycznej w Lublinie kolegę Przemka Twardowskiego. Po nostryfikacji dyplomów Kasia i Przemek Twardowscy przenieśli się z Chicago do Pasadeny koło Los Angeles.

Podróż ta miała charakter prywatny, także następne, które po niej nastąpiły. Podkreślałem całkiem prywatny charakter wypraw do Kalifornii, ponieważ moja rozgłośnia nie miała możliwości ani środków, by wysłać swego pracownika za ocean.

Dla mnie i żony wyprawa na drugi koniec świata nosiła znamiona wielkiej przygody. Osobiście żywiłem nadzieję, że w Kalifornii nawiążę kontakty z Polakami, którzy deportowani zostali z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej na Syberię, a po opuszczeniu „nie-ludzkiej ziemi”, osiedlili się na przyjaznym amerykańskim kontynencie.

Nie zawiodłem się, na obszarze wielkiej aglomeracji Los Angeles poznałem wielu wspaniałych ludzi, nagrałem z nimi rozmowy,



kpt. Marcin Głowacz-Henzel

które wykorzystałem w magazynie „Kresy” emitowanym przez Radio Rzeszów. Relacje z tułaczki naszych rodaków trafiły również do dwu książek, które udało mi się wydać: *Tam był nasz dom* (2010) i drugi tom *Kresy. Krajobraz serdeczny* (2013). Obydwie opublikowało Wydawnictwo „Carpathia” w Rzeszowie w niewielkich nakładach. Książki zebrały pozytywne recenzje i dostępne są tylko w bibliotekach.

W tej sytuacji postanowiłem przedstawić czytelnikom kwartalnika „Cracovia–Leopolis” kilka interesujących postaci, aby przypomnieć, jak trudną drogę przeszli Kresowianie po utracie większych lub mniejszych posiadłości, domów, kamienic, dworów czy pałaców, by dotrzeć do Kalifornii, która miała okazać się dla nich ziemią obiecaną.

Z LASÓW POD ARCHANGIELSKIM NA POLE BITWY POD ARNHEM

Nieczęsto można poznać ludzi tak pracowych, skromnych, jakim był kpt. Marcin Głowacz-Henzel.

Chciałem poznać dzielnego spadochroniarza. Mieszkał w dość odległej miejscowości. Skorzystałem z uprzejmości Kongresu Polonii Amerykańskiej, którego delegacja wyjeżdżała w teren.



W ogródku krzątał się niewysoki mężczyzna, szczupły, opalony. Kpt. Marcina Głowacz-Henzela poznałem, jak wielu innych Polaków, w kawiarence Domu Seniora „Szarotka”, nieopodal polskiego kościoła w Los Angeles. Poznaję żonę pana Marcina – Henrykę. Zasiadamy w kwadratowym saloniku. Dwie ściany zajmują półki z książkami, dotyczącymi głównie II wojny światowej, większość w języku polskim. Pani Henryka podaje wodę mineralną, którą gasimy pragnienie.

Marcin Henzel urodził się w Przemyślu w rodzinie urzędnika kolejowego. Gdy był małym chłopcem, rodzina przeniósła się do Lwowa, gdzie ojciec objął stanowisko kierownika parowozowni. Marcin wraz z bratem byli uczniami świetnych lwowskich gimnazjów. Marcin interesował się lotnictwem. W sierpniu 1939 roku przebywał na obozie szybowcowym w Ustianowej na Rzeszowszczyźnie. We wrześniu należał do drużyny harcerskiej, która brała udział w obronie Lwowa – codzienne dyżury na dachach kamienic przy ul. Focha, Gródeckiej, skąd przekazywał informacje o zbliżaniu się samolotów wroga nad Lwów.

W jakiś czas po kapitulacji i zajęciu Lwowa przez Armię Czerwoną trafił do podziemnej organizacji niepodległościowej Związek Walki Zbrojnej (ZWZ). Pięciu chłopaków (taka jest podstawowa jednostka organizacyjna) zajmowało się m.in. gromadzeniem broni porzuconej w różnych miejscach. W piwnicy wynajmowanego przez rodzinę mieszkania zakopali kilkanaście odpowiednio zabezpieczonych karabinów.

Młodzi nie mają doświadczenia w podziemnej robocie. Niedługo NKWD namierza i aresztuje Marcina. Staje przed sądem i z wyrokiem 10 lat trafia do obozu pod Archangielsk. Mieszkają w prymitywnych, kiepsko ogrzewanych, brudnych barakach,

dostają głodowe wyżywienie i codziennie bardzo wczesnym rankiem, niezależnie od pogody, czy tryskający mróz czy zamieć śnieżna, wyruszają do lasu. Normy są wysrubowane, mało kto ze skazanych je wykonuje, a przydział chleba (czarnego jak ziemia) jest uzależniony od wykonania normy. Piekielny system, jego celem jest wyniszczanie, śmierć zesłanych.

Marcin jest młodym, wysportowanym i silnym mężczyzną, ze zgrozą patrzy, jak zapadają na rozmaite choroby współtowarzysze niedoli, jak szybko odchodzą. Grzebie się ich nieopodal obozu, w bardzo płytkich grobach, bo ziemia jest stale zamarznięta i ciężko w niej kopać.

Po paru miesiącach z przerażeniem patrzy na swoje ciało, które traci dawną odporność, zaczynają mu puchnąć nogi. To cynga (awitaminoza), która powstaje na skutek całkowitego niedoboru witamin.

Młody skazaniec ze Lwowa stopniowo traci nadzieję. Pozostaje jeszcze modlitwa do Najświętszej Marii Panny. Wychowany został przez wierzących rodziców. Modli się z największą żarliwością, nie ustaje w wypraszaniu do nieba próśb o uratowanie ze śmiertelnego zagrożenia.

Staje się cud. Choroba zaczyna się powoli wycofywać. W zamian za ratunek harcerz obiecuje, że po wojnie odbędzie pieszą wędrówkę ze Lwowa na Jasną Górę, do Matki Bożej Częstochowskiej.

Tymczasem następuje zwrot w stosunkach pomiędzy Moskwą i polskim rządem na emigracji. Generał Władysław Sikorski, stojący na czele rządu w Londynie, sprawujący również funkcję naczelnego wodza, jedzie na rokowania do ZSRR. Jednym z najważniejszych dokonań tej wizyty (której przeciwni byli prawicowi ministrowie rządu; trzech podało się do dymisji) było podpisanie umowy Sikorski–Majski. W wyniku tego porozumienia, mającego kapitalne znaczenie dla setek tysięcy deportowanych na Syberię, uwięzionych w łagrach, obozach i więzieniach Polaków, Związek Sowiecki wprowadza amnestię przywracającą wolność represjonowanym. Chociaż lokalne władze sabotują postanowienia umowy Sikorski–Majski, otwierają się jednak bramy łagrów i miejsc odosobnienia.

Drugim ważnym postanowieniem była zgoda Moskwy na utworzenie Armii Pol-

skiej, która ma walczyć przy boku Armii Czerwonej z Niemcami. Na czele mającego powstać wojska staje więzień Łubianki, gen. Władysław Anders.

Ze wszystkich zakątków ogromnego imperium Stalina wyruszają grupy młodych mężczyzn, obdartych, wymizerowanych. Jadą tygodniami, a nawet miesiącami, do znajdujących się na pograniczu z Iranem obozów, gdzie formowane są polskie jednostki wojskowe. Wśród nich jest powoli wracający do zdrowia Marcin Głowacz-Henzel. Wraz z II Korpusem opuszcza „kraj niewoli”, przez Iran, Irak, Palestynę dociera do Egiptu. Tam wpada mu w ręce gazeta informująca, że poszukiwani są ochotnicy, którzy pragną służyć w marynarce wojennej lub wojskach spadochronowych.

Marcin nie waha się ani chwili, zgłasza swój akces do jednostki powietrzno-desantowej. Upłynie kilka miesięcy, zanim słynny brytyjski statek „Queen Mary”, przekazany wojsku dla przewiezienia żołnierzy, opłynie Afrykę i przez Ocean Spokojny dotrze do Rio de Janeiro w Argentynie, a stamtąd do Wielkiej Brytanii. Na morzach grasują bardzo niebezpieczne u-boty, spotkanie których mogłoby skończyć się śmiercią kilku tysięcy alianckich żołnierzy. Kiedy przybysz spod Archangielska zostaje przyjęty, brygada spadochronowa, której dowództwo powierzono gen. Stanisławowi Sosabowskiemu z kresowego Stanisławowa, jest już sformowana. Jednak przez wiele kolejnych miesięcy nowo stworzona jednostka przechodzić będzie forsowne szkolenia w sprawności bojowej. Spadochroniarze ćwiczą technikę skoków ze spadochronem i wszelkie formy walki po wylądowaniu.

Podwładni wymagającego dowódcy, jakim jest gen. Sosabowski, należą do elity Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Marzy im się lądowanie w Warszawie i walki o wyzwolenie stolicy Polski. Niestety te szlachetne marzenia nie spełnią się nigdy, bo zachodni alianci przekazali Polskę dyktatorowi na Kremlu, w sferę wpływów Moskwy.

Polska Brygada uczestniczyć będzie w bardzo ważnym desancie na tyłach wroga w Holandii, który może przyspieszyć zakończenie wojny nawet o kilka miesięcy. Celem operacji, przygotowanej nonszalancko, w sposób niedbały przez sztabowców brytyjskich, ma być opanowanie mostów na rzece

Ren, co umożliwi wojskom alianckim błyskawiczne wkroczenie na terytorium Niemiec.

Niestety zespół sztabowców brytyjskich, działających w pośpiechu na polecenie dowódcy brytyjskich wojsk inwazyjnych, marszałka Montgomeryego, popełnił kilka poważnych błędów, co przesądziło o losach całej operacji. Jednym z tych błędów było niezachowanie w całkowitej i ściśle strzeżonej tajemnicy miejsca i terminu lądowania.

Na skutek nieostrożności wywiad niemiecki dotarł do części sekretów „Market Garden”, umożliwiając Niemcom podjęcie kroków zmierzających do sparaliżowania działań aliantów.

Błędem drugim, równie poważnym jak pierwszy, było wynikające z pośpiechu zlekceważenie doniesienia jednego z agentów, że Wehrmacht ściągnął w ostatniej chwili jedną z dywizji pancernych w pobliże miejsca planowanego desantu.

Część brygady Sosabowskiego wylądowała w drugim rzucie w pierwszych dniach września 1944 roku. Polscy skoczkowie lądowali pod zmasowanym ogniem artylerii i piechoty nieprzyjaciela, co spowodowało znaczne straty w ludziach i sprzęcie. Utrudniło również okopanie się i zajęcie pozycji obronnych. Most na Renie został przez Niemców wysadzony w powietrze. Wbrew obietnicom, Polacy nie znaleźli łodzi niezbędnych do przeprawy na drugą stronę Renu.

Przez kilka dni Polacy, okopani koło miasteczka Driel, odpierali zaciekle ataki wroga i tylko niezwykła determinacja pozwoliła utrzymać się na zajętych pozycjach.

Sprawne dowodzenie przez gen. Sosabowskiego uchroniło nasze pododdziały od większych strat, a te stały się udziałem elitarnych pułków spadochronowych armii brytyjskiej, które ponosiły ogromne straty, wręcz zostały zdziesiątkowane.

Na codziennych odprawach gen. Sosabowski ostro krytykował zarówno założenia operacji, jak i jej wykonanie. Oficerowie brytyjscy byli wściekli na Polaka, który bez skrupułów krytykował fatalne działania.

Kiedy wielka operacja okazała się oczywistym fiaskiem, przyniosła ogromne straty w ludziach i pochłonęła wiele pieniędzy, sztab główny zarządził wskazanie winnych i należyte ich karanie. Operacja „Market Garden” nie przyniosła chwały Brytyjczykom.

Ci, którzy winni byli bezpośrednio i pośrednio za klęskę, gorączkowo szukali kozła ofiarnego. Niestety, znaleźli go bez większej trudności. Przekazano zwierzchnikom zakłamaną tezę, że winny niepowodzeniom był polski dowódca, gen. Sosabowski, bo nie wykonał powierzonych mu zadań, co było oczywistą nieprawdą. Sosabowski był sam, jego argumentów nie poparł niestety żaden z brytyjskich kolegów. Bez poważnych dowodów uznano, że był winny. Pozbawiono go dowództwa nad Brygadą Spadochronową. W złości, w odwecie za bezpardonową, ale słuszną krytykę – pozbawiono go również prawa do emerytury. Był to wyjątkowo złośliwy i dotkliwy cios, po wojnie musiał do końca życia zarabiać na swoje utrzymanie. Spadochroniarze współczuli swemu dowódcy, ale byli bezsilni.

Marcin Henzel spisał się wzorowo w czasie wielodniowych, ciężkich walk wokół holenderskiego miasteczka Driel. Szczupły, ruchliwy i sprytny, wychodził z ciężkich starć bez szwanku. Wiele razy brał udział w pogrzebach kolegów, sam pozostając nietknięty. Dopisywało mu szczęście w najtrudniejszych sytuacjach. A później przeżywał, jak całe Wojsko Polskie, gorzyc, jakiej doznali Polacy od Brytyjczyków, którzy ulegając naciskom Stalina – nie zaprosili polskich żołnierzy na paradę zwycięstwa w Londynie.

Po demobilizacji Marcin skończył wyższą szkołę mechaniczną i jak tysiące zdemobilizowanych żołnierzy w 1956 roku wyruszył za Ocean. Przez kilkadziesiąt lat pracował w zakładach wytwórczych, które produkowały słynne samoloty Dakota – nie tylko na potrzeby armii amerykańskiej. Z samolotu typu Dakota wyskoczył we wrześniu 1944 roku na pola bitwy pod Arnhem.

Ożenił się z Henryką, więźniarką niemieckich obozów koncentracyjnych, ale nie mieli dzieci. Stąd decyzja, by ostatnie lata życia spędzić w miasteczku Mission Vieja, wybudowanym specjalnie dla starszych, bezdzietnych osób. Pensjonariusze mieszkają w niedużych, ale wygodnych domach z ogródkiem. Osada wyposażona jest w niezbędne urządzenia komunalne i kulturalne. Jest tam wielofunkcyjny hipermarket, gdzie można wszystko kupić bez konieczności wyjeżdżania do większych miast, są boiska sportowe, pływalnia, dom kultury, kawiarenki etc. Słowem jest wiele wygod, za które

trzeba jednak słono płacić. W Kalifornii jest stosunkowo dużo tego rodzaju osiedli, mniej lub bardziej komfortowych, w zależności od możliwości klientów. I nie stoją puste.

Kapitan Marcin Henzel był mocno zaangażowany w działalność społeczną. Powierzono mu funkcję wiceprezesa Związku Narodowego Polskiego nr 700 w Los Angeles, był członkiem Zarządu Kongresu Polonii Amerykańskiej. Szczególnie bliskie były mu problemy kombatanatów. Regularnie jeździł do miasteczka Driel, które pamiętało o swoich polskich obrońcach i co roku zapraszało ich na uroczyste spotkania i festyny. Marzył o tym, by jego prochy spoczęły na warszawskich Powązkach w kwaterze Polskiej Brygady Spadochronowej.

Dzielnemu i prawemu żołnierzowi, który przez całe życie walczył o wolną i niepodległą Polskę, uczciwemu i skromnemu człowiekowi, nie udało się powrócić do ukochanego Lwowa, który znalazł się poza granicami Polski. Ale po latach, gdy można już było dotrzeć na Ukrainę, jeszcze za czasów upadającego ZSRR, postanowił spełnić obietnicę daną Matce Boskiej Częstochowskiej. Trzy razy jechał do Lwowa, trzy razy podchodził do spełnienia obietnicy, by ze Lwowa odbyć dziękczynną pieszą pielgrzymkę za uratowanie życia.

Gdy w końcu za trzecim razem wyruszył, na przedmieściach Gródka Jagiellońskiego został zatrzymany przez posterunek drogowy. Idący skrajem szosy od Lwowa, samotny, starszy mężczyzna, z ogromnym plecakiem, legitymujący się paszportem amerykańskim, wzbudził sensację i podejrzenia o szpiegostwo. Mijały godziny, telefonowano do Lwowa i Moskwy. W końcu przyszło polecenie: zwolnić zatrzymanego! Pewnie wszyscy odetchnęli z ulgą. A kapitan Głowacz-Henzel dotarł przed oblicze cudownego obrazu w Częstochowie. Zmęczony, ale szczęśliwy, że po latach udało mu się spełnić daną obietnicę.

Zmarł w roku 2013. W jego amerykańskim kalifornijskim miasteczku w kościele odbyło się ostatnie pożegnanie. 17 maja 2013 roku pogrzebano go na warszawskich Powązkach w kwaterze Polskiej Brygady Spadochronowej. Urnę z prochami przywiezła do Polski żona Henryka, która do końca życia pozostała już w Polsce. Spoczęła obok niego w polskiej ziemi.

Seweryn Wolloch – bytomski lwowianin, ocalony z Holocaustu

Przed dwoma laty, 24 maja 2017 roku, zmarł Seweryn Wolloch, jeden z ocalonych z Holocaustu. Jego losy, niezwykłe jak wszystkich ocalonych, są też okazją do przypomnienia losów lwowskich Żydów, w społecznej świadomości istniejących głównie dzięki filmowi Agnieszki Holland *W ciemności*. Pan Seweryn nie był postacią, która zapisze się w historii przez swoje wybitne zasługi w jakiejś dziedzinie nauki czy sztuki, ale w mojej ocenie był człowiekiem, który przez trudny dla wszystkich wiek XX umiał przejść z godnością. A nie było to łatwe dla kogoś, kto nie znał nawet daty swego urodzenia – oficjalnie urodził się 28 grudnia 1934 roku, natomiast był przekonany, że musiał urodzić się w 1931 roku. Podobnie z imieniem i nazwiskiem – dla wielu jego znajomych pozostał Julkiem, gdyż jako Juliusz Krawiecki, syn Antoniego, urodzony w 1932 roku, przetrwał nie tylko wojnę, ale także późniejsze lata sowieckiej rzeczywistości. W tej rzeczywistości przeżył większość swego życia, ale identyfikował się z polsnością – ukończył we Lwowie polską szkołę, występował w Polskim Teatrze Ludowym. Do Polski też przesiadł się wraz z rodziną w 1990 roku. Jednocześnie pozostał Żydem i tego się nie wyparł, utrzymując kontakty ze społecznością żydowską w Polsce – ich śladem są spisane w 2005 roku przez Katarzynę Meloch jego wspomnienia, zamieszczone w IV tomie zbioru *Dzieci Holocaustu mówią...*¹ Wspomnienia, które miałem okazję przeczytać jeszcze przed opublikowaniem, stały się podstawą tego artykułu. Dla osadzenia losów p. Seweryna w szerszej rzeczywistości historycznej wykorzystałem najnowsze wydanie książki

Michała Maksymiliana Borwicza *Uniwersytet zbirów. Rzecz o Obozie Janowskim we Lwowie 1941–1944*², zawierające cenne dodatki na temat losów lwowskich Żydów. Porównawczo wykorzystałem też wspomnienia Edmunda Kesslera *Przeżyć Holocaust we Lwowie*³, opublikowane z inicjatywy jego córki Renaty przez Żydowski Instytut Historyczny, a także wydaną w tym roku książkę Wojciecha Orlińskiego *Lem. Życie nie z tej ziemi – rozdział II Wśród umarłych*⁴ – pokazujący, jak Stanisław Lem i jego żydowska rodzina przetrwali we Lwowie czasy Holocaustu.

Rodzina Seweryna Wollocha mieszkała w Warszawie, gdzie też (prawdopodobnie w 1931 roku) urodził się Seweryn – rok ten wywodzi on z faktu, że w 1938 roku poszedł do pierwszej klasy szkoły powszechnej, czyli musiał mieć 7 lat. Sam we wspomnieniach określał się jako warszawiak, przez co rozumiał miejsce pochodzenia, tak naprawdę bowiem był i pozostał lwowiakiem. Rodzina była stosunkowo zamożna; ojciec pracował w przedsiębiorstwie handlującym ropą naftową, a matka zajmowała się domem, do pomocy mając służącą. Zajmowali czteropokojowe mieszkanie, z tym że w jednym z pokoi zamieszkiwała nauczycielka biologii – fakt ten zapadł mu w pamięć ze względu na ludzki szkielet tam przechowywany.

Jako jedynak prowadził spokojne życie chłopca z mieszczańskiej rodziny, aż do września 1939 roku, kiedy to po apelu pułkownika Umiaszowskiego ojciec opuścił Warszawę, a syn pozostał w niej razem z matką. Później jednak i oni udali się w kie-

¹ *Seweryn (urodzony w 1931 roku)* [w:] *Dzieci Holocaustu mówią...*, t. 4. Do druku przygotowały: Katarzyna Meloch i Halina Szostkiewicz. Wyd. Stowarzyszenie „Dzieci Holocaustu” w Polsce, Warszawa 2012, s. 269–273. Wszystkie wiadomości o życiu Seweryna Wollocha, o ile nie zaznaczono inaczej, zaczerpnięte zostały z tego źródła.

² Michał Maksymilian Borwicz, *Uniwersytet zbirów. Rzecz o Obozie Janowskim we Lwowie 1941–1944*. Wyd. Wysoki Zamek, Kraków 2014.

³ Edmund Kessler, *Przeżyć Holocaust we Lwowie*. Wyd. Żydowski Instytut Historyczny im. Emanuela Ringelbluma, Warszawa 2014

⁴ Wojciech Orliński, *Lem. Życie nie z tej ziemi*. Wyd. Czarne, Agora. Wołowiec 2017, rozdział II: *Wśród umarłych*, s. 47–97



Seweryn Wolloch z Wiktorem Lafarowiczem, aktorem Teatru Polskiego we Lwowie, fot. archiwum autora

runku wschodnim, na tereny zajęte już przez Rosjan. Dwukrotnie po przekroczeniu linii demarkacyjnej byli przez nich zawracani i wydawani w ręce Niemców, dopiero za trzecim razem udało im się przepłynąć na łódce rzekę (prawdopodobnie Bug) i dotrzeć do stacji kolejowej, skąd pociągiem dojechali do Lwowa. Tam oczekiwał już na nich ojciec, który podjął pracę szklarza. Seweryn rozpoczął naukę w szkole, ponownie w pierwszej klasie (władze oświatowe sowieckie wszystkich uczących się dotąd w polskich szkołach cofnęły o jeden rok nauki); często odwiedzali także dziadka mieszkającego pod Lwowem we wsi Kamienopol. Stamtąd codziennie dowoził on do miasta mleko końmi, które posiadał w gospodarstwie. Życie rodziny, choć zupełnie inne niż w czasach przedwojennych, było jednak w miarę ustabilizowane – aż znowo wkroczyła w nie wojna, tym razem niemiecko-radziecka. Każda z grup narodowościowych zamieszkujących Lwów inaczej przyjęła fakt zajęcia miasta przez oddziały niemieckie – ukraińscy nacjonaliści z największymi nadziejami, choć szybko rozwianymi. W najgorszej sytuacji natomiast od samego początku znaleźli się lwowscy Żydzi, w tym rodzina Pinkusa Wollocha, jego żony i syna.

Proces zagłady Żydów lwowskich rozpoczął się 30 czerwca 1941 roku, a zakończył, przynajmniej w skali masowej, 23 listopada 1943 roku, kiedy to Lwów ogłoszono miastem wolnym od Żydów (Judenrein). Ci, którzy mimo to przetrwali, byli nadal mordowani aż do lipca 1944 roku, czyli do momentu ponownego wkroczenia do miasta wojsk radzieckich. Wówczas zarejestrowało się 823 ocalonych, czyli tych, którzy wyszli z ukrycia. Ocenia się, że z około 150–160

tysięcy Żydów zamieszkujących miasto w momencie wkroczenia do niego Niemców ogółem przeżyło około 3%, czyli nie więcej niż 5 tysięcy ocalonych⁵. Daje to pojęcie, czym musiało być życie Żyda we Lwowie okupowanym przez Niemców. Nie będę w tym miejscu analizować obszernie dziejów zagłady Żydów lwowskich, a jedynie za Leonem Perlmanem zwrócę uwagę na kluczowe momenty i cechy tego procesu.

Otóż, o ile tego typu klasyfikowanie jest w ogóle na miejscu, można powiedzieć, że tutejszy Holokaust był jeszcze bardziej tragiczny i okrutny od warszawskiego (włączając w to elementy powstania podobnego do tego w getcie warszawskim i jego następstwa), a na pewno łódzkiego czy krakowskiego. Co się na to składa? Już sam początek niemieckiej okupacji miasta był tragiczny dla wielu żydowskich mieszkańców. Ukraińskie bojówki inspirowane przez Niemców wyłapały na ulicach, doprowadziły do lwowskich więzień, a następnie wymordowały około 4 tysiące Żydów. Podobne akcje toczyły się przez całe lato. W dniach 25–27 lipca, w czasie tzw. Dni Petlury, ukraińska policja zatrzymała, torturowała, a następnie zamordowała co najmniej 2000 Żydów. Ogółem ocenia się, że w ciągu kilku pierwszych miesięcy okupacji Lwowa straciło życie ponad 10 tys. żydowskich mieszkańców, a był to dopiero początek ich gehenny.⁶

Niemcy dokonywali masowego rabunku własności żydowskiej zarówno zbiorowo, przez tzw. kontrybucję na kwotę 20 mln rubli (sierpień 1941 roku), jak też indywidualnie poprzez zabieranie bez jakichkolwiek podstaw formalnych mienia z domów żydowskich. Zburzono synagogi, w tym bezcenną jako zabytek kultury Synagogę Złotej Róży, a także cmentarze żydowskie. Kiedy Lwów stał się częścią Generalnej Guberni, niezwłocznie wprowadzono w życie obowiązujące w niej ustawy antyżydowskie, jak nakaz

⁵ Leon Perlman, *Di Goldene Rojze: Zarys historii polsko-żydowskiej społeczności Lwowa: 1256–1943* [w:] Michał Maksymilian Borwicz, *Uniwersytet zbirów...*, s. 217

⁶ Tamże, s. 204

„Tango śmierci” w niemieckim obozie Janowskim we Lwowie, fot. ze zbiorów autora

noszenia opasek z Gwiazdą Dawida, zakazy poruszania się koleją i w ogóle poza miasto, nakaz pracy przymusowej. Dla łatwiejszego podporządkowania ludności żydowskiej władzom w perfidny sposób użyto przeciw niej skłonnych do tego Żydów, tworząc Judenrat i milicję żydowską, która nie tylko nie służyła swoim ziomkom, ale pomagała gorliwie w Zagładzie, nagminnie szantażując ich, wymuszając okupy, a nieposłusznych denuncjując⁷.

W październiku 1941 roku ogłoszono powstanie getta w północno-zachodniej części miasta, do którego Żydzi musieli się przesiadlić. Nawet to jednak było przywilejem, gdyż przy wejściu do getta przybywających selekcjonowano jak na rampie w Auschwitz, a słabych, chorych bądź w podeszłym wieku bito i mordowano. Żydów obrabowano z resztek mienia, a za pracę im nie płacono; racje żywnościowe zmniejszono radykalnie, wiele osób umierało z głodu, zimna i wyćieńczenia na ulicy, szerzyły się też choroby zakaźne. Od marca 1942 roku rozpoczęto ze stacji Lwów Kleparów wywózki do obozu zagłady w Bełżcu, w pierwszej kolejności osób niepracujących i niezdolnych do pracy. Wożono ich do stacji ulicą Janowską otwartymi wagonami tramwajowymi, stąd też wielu żyjących do dziś mieszkańców Lwowa wspomina ten makabryczny widok.

Obok getta miejscem koncentracji Żydów (w pierwszym okresie także Polaków i Ukraińców) stał się Obóz Janowski, założony we wrześniu 1941 roku jako obóz pracy dla więźniów zatrudnionych w Niemieckich Zakładach Zbrojeniowych (DAW). Z biegiem czasu stawał się on coraz bardziej obozem zagłady, a jako jej miejsce służyły tzw. Piaski, położone z tyłu za obozem. Warto dodać, że zginęli tam m.in. włoscy żołnierze, uznani po obaleniu Mussoliniego za zdrajców. Wielu więźniów zginęło też z rąk sadystów – strażników podobnych do znanego z Auschwitz Oswalda Kaduka. Kolejny komendant Franz Warzog jest znany z historii młodego więźnia Szymona Wiesenthala, który udęczony prosił go o zabicie. Warzog odparł wówczas, że byłaby to łaska, a o tym Żyd sam nie



decyduje. Jak wiadomo, Wiesenthal przeżył obóz i stał się potem jednym z największych łowców hitlerowskich zbrodniarzy. Był to jednak wyjątek, innym był autor relacji o Obozie Janowskim, wydanej w 1946 roku w Krakowie – Michał Maksymilian Borwicz. Wśród znanych powszechnie przed wojną osób, które zginęły w obozie, był popularny autor piosenek Emanuel Schlechter, a także wybitny prawnik, profesor Uniwersytetu Jana Kazimierza Maurycy Allerhand⁸.

Rok 1943 podobnie jak w Warszawie, tak i we Lwowie oznaczał ostateczną zagładę Żydów. Tutejsze getto zostało zamknięte 7 września 1942 roku, a następnie od stycznia następnego roku przekształcone w tzw. Julag, czyli żydowski obóz pracy. W czerwcu 1943 r. podjęto akcję jego likwidacji, którą kierował dowódca SS i policji Dystryktu Galicja Fritz Katzmann. Nie wszyscy Żydzi bez oporu przyjęli wywózkę do miejsc kaźni, stąd też wystąpiły elementy – choć na mniejszą skalę – podobne do powstania w getcie warszawskim. Niemców powitały strzały, granaty i koktajle Mołotowa, dlatego użyto miotaczy ognia, a Żydów uciekających z płonących domów zabijano na miejscu. Przy ul. Łokietka powstał bunkier, z którego Żydzi ostrzeliwali się przez pewien czas. Zamordowano w czasie tej akcji około 20 tysięcy Żydów, a 7 tysięcy schwytano i przewieziono do Obozu Janowskiego, gdzie kilka dni wcześniej rozstrzelano ponad 75% więźniów. Na terenie getta znaleziono ponadto prawie 3 tysiące zwłok Żydów, którzy sami zadali sobie

⁷ Tamże, s. 206

⁸ Adam Redzik, *Janowskie piekło* [w:] Michał Maksymilian Borwicz, *Uniwersytet zbirów...* s. 220–238

śmierć⁹. Pozostał jeszcze Obóz Janowski, gdzie utworzono tzw. brygadę śmierci. Jej członkowie wykopywali zwłoki zamordowanych przez hitlerowców, palili je, a kości mielili w specjalnych młynkach. W ten sposób pozbyto się m.in. zwłok zamordowanych na Wzgórzach Wuleckich profesorów, którzy nie mają własnego grobu. Członkowie brygady, słusznie obawiając się, że po wykonaniu zadania i oni zostaną zamordowani, podjęli próbę ucieczki. Udała się ona tylko kilku z nich; był wśród nich Leon Weliczker, któremu zawdzięczamy opis tych wydarzeń¹⁰. Kilka dni po tym buncie Niemcy rozstrzelali większość znajdujących się w obozie. Dzień ten, jak wyżej podano: 23 listopada 1943 roku, przyjmuje się za koniec istnienia wspólnoty żydowskiej Lwowa. Przykładowo z lekarzy pochodzenia żydowskiego, których było we Lwowie w 1941 roku prawie tysiąc, nie przetrwał prawie nikt. Przeżyły Zagładę jednostki, a wśród nich był 13-letni wówczas Seweryn Wolloch. Powstaje pytanie: jak to było możliwe w piekle, którym dla Żydów uczyniono wówczas Lwów?

Jest oczywiste, że szanse na przetrwanie były związane z pomocą ludności pochodzenia aryjskiego, przede wszystkim Polaków mieszkających we Lwowie. Naturalnie mogło być i tak, że ludność ta wydawała ukrywających się Żydów w ręce hitlerowców, natomiast jako Polacy przede wszystkim dokumentujemy wypadki przeciwne. Przywołany wyżej film *W ciemności*, oparty na wspomnieniowej książce Krystyny Chiger¹¹, pokazuje taką właśnie sytuację. Polak Leopold Socha, przed wojną zwykły złodziejaszek, na co są dokumenty, kierując się najpierw względami czysto materialnymi ukrywa żydowską rodzinę i stopniowo przechodzi przemianę duchową w kierunku altruizmu. Udzielającymi pomocy mogli być też Niemcy, bo zdarzały się wśród nich obok zbrodniczych fanatyków jednostki szlachetne, bolejące nad okrucieństwem hitlerowców, któremu nie mogli przeciwstawić się w sposób jawny – postaci takich Niemców spopularyzowały znane filmy *Lista Schindlera* Stevena Spielberga i *Pianista* Romana Polańskiego.

Przejdźmy jednak do wspomnień Seweryna Wollocha, jednego z Ocalonych we Lwowie.

Pierwszy okres okupacji, akcji, czyli ulicznych łapanek, udało mu się przetrwać w zaskakujący sposób. Podczas jednej z akcji grupa Żydów ukryła się w koszarach Luftwaffe przy ulicy Gródeckiej. Wobec donosu na gestapo lotnicy wyprowadzili ich pod bagnietami na ulicę, udając, że złapali właśnie grupę ukrywających się Żydów i prowadzą ich do więzienia. Odprowadzeni w ten sposób Żydzi zdołali uniknąć zagłady. Tego typu sytuacji powtarzały się. Jak wspominał, gorsi od Niemców byli policjanci; polscy „granatowi”, ukraińscy i żydowscy z żółtymi opaskami na rękawach. Ciągła obawa przed zatrzymaniem, równoznacznym ze śmiercią, napełniała przebywających jeszcze na wolności Żydów lękiem, który potęgowały wiadomości o znikających wskutek aresztowania kolejnych krewnych czy znajomych.

Kluczowe jednak było dla rodziny uniknięcie przesiedlenia do getta. Aby spełnić obowiązek pracy, ojciec dostał się do obozu w Winnikach koło Lwowa, jednego z dziewicy, które powstały w Dystrykcie Galicja¹². Seweryn z matką przebywali w sąsiednim obozie dla kobiet z dziećmi. Pewnego razu władze zarządziły kontrolę w obozie, a nadmiernej liczbie matek z dziećmi groziła wywózka. Wtedy to niemiecki kierownik obozu przewiózł ich część na kilka dni do innego obozu, gdzie kontrola już się odbyła. W ten sposób udało im się przetrwać około roku, do późnej jesieni 1942. Wtedy to Niemcy zarządziли ewakuację obozu i marsz w kierunku Lwowa – albo do getta, albo do Obozu Janowskiego, tak czy owak na śmierć... Maszerującego razem z matką Seweryna zaczęła ona namawiać do ucieczki, chcąc, aby przynajmniej dziecko się uratowało. W pewnym momencie widząc stojący przy drodze wóz konny chłopiec, który nie bał się koni, gdyż zaznajomił się z nimi w gospodarstwie dziadka, ukrył się za nimi, a potem uczepony z tyłu wozu wrócił do Winnik. Woźnica, który widział tę sytuację, nie zareagował, ratując mu życie. Matki, która pozostała w kolumnie, nigdy więcej nie zobaczył.

⁹ Leon Perlman, *Di Goldene Rojze...*, s. 216

¹⁰ Adam Redzik, *Janowskie piekło...*, s. 233–234

¹¹ Krystyna Chiger, *Dziewczynka w zielonym sweterku*. Wyd. PWN, Warszawa 2011

¹² Adam Redzik, *Janowskie piekło...*, s. 225

Po powrocie do Winnik poszedł do kobiety, która kiedyś życzliwie się do niego odniosła. I tym razem, mimo ryzyka z tym związanego, ukryła go na kilka dni i powiadomiła ojca. Wraz z innymi Żydami był wożony codziennie do pracy na Cmentarzu Janowskim, gdzie rozbijali macewy i budowali z nich drogę. Zabrał go ze sobą i pozostawił na kolejne kilka dni u stróża nocnego. W tym czasie udało się skontaktować z ciotką, która mając amerykański paszport przebywała we Lwowie na wolności. Ona z kolei znalazła znajomego ojca sprzed wojny, Józefa Rybickiego, który umieścił chłopca w swoim mieszkaniu przy ulicy Jasnej. Tam Seweryn ukrywał się od 1 grudnia 1942 roku do 27 lipca 1944, kiedy to Rosjanie weszli do Lwowa.

Podczas ukrywania się był, jak to określa, dzieckiem z szafy. Przebywał w mieszkaniu bez możliwości wychodzenia na ulicę, a nawet podchodzenia do okna. W wypadku wizyty w mieszkaniu kogoś obcego musiał ukrywać się w schowku, który był umieszczony za szafą. Nie zdarzało się to jednak często. Miał metrykę rzymskokatolicką na nazwisko Juliusz Krawiecki, syn Antoniego, urodzony w 1932 roku w Kosowie, i tym nazwiskiem posługiwał się aż do 1952 roku. Nie tylko matki, ale i ojca już więcej nie zobaczył – prawdopodobnie zginął on w jednej z akcji likwidacyjnych, o których była mowa¹³.

Pozostanie przy życiu 10–13-letniego Seweryna, jeśli nie odwoływać się do kategorii cudu, można określić jako zbieg niezwykle dla niego szczęśliwych przypadków. Ratowała go zarówno rodzina: ojciec i matka dzięki przytomności umysłu i zaradności, ciotka dzięki posiadaniu amerykańskiego paszportu, znajomi – przede wszystkim ów Józef Rybicki, w którego mieszkaniu przebywał ponad 1,5 roku, jak też obcy zupełnie ludzie, na przykład kobieta w Winnikach, która się nim zaopiekowała i powiadomiła ojca... Nie wiadomo również, skąd wzięła się metryka urodzenia – czy została przez księdza z Kosowa specjalnie wystawiona, czy sfalszowana, a może odkupiona od polskiej rodziny, na przykład po zmarłym dziecku. Co więcej, z opowieści Seweryna-Juliusza wyłania się niestereotypowy obraz Niemców,

którzy także przyczynili się do ratowania jego życia. Stało się tak prawdopodobnie dlatego, że nie przebywając w getcie czy też Obozie Janowskim nie zetknął się on bezpośrednio z najbardziej okrutnymi, fanatycznymi funkcjonariuszami, a ze zwykłymi Niemcami, przymusowo wciągniętymi do hitlerowskiej maszyny terroru i przemocy. Decydował wreszcie, jak to bywa w życiu, zupełny przypadek, a także to, że obcując w gospodarstwie dziadka z końmi nie bał się ukryć za nimi – a był przecież wówczas 10-letnim chłopcem i to wychowanym w mieście.

Dla porównania losów okupacyjnych Seweryna można sięgnąć do losów innych uratowanych lwowskich Żydów. W tomie wydany przez Żydowski Instytut Historyczny zawarte są nie tylko wspomnienia Edmunda Kesslera, który wraz z rodziną przeżył Holokaust, ale także Kazimierza Kalwińskiego. Jako kilkunastoletni chłopiec wraz ze swoimi rodzicami ukrywał on w domu na przedmieściach Lwowa najpierw 21 Żydów, później 24; znalazł tu schronienie także wspomniany wyżej uciekinier z brygady śmierci Leon Weliczker, który pod nazwiskiem Leon Wells przebywał potem w USA i był m.in. świadkiem w procesie Adolfa Eichmanna.

Edmund Kessler był zamożnym lwowskim prawnikiem, prowadził kancelarię przy ulicy Sykstuskiej¹⁴. Po wkroczeniu wojsk radzieckich jako działacz syjonistyczny obawiał się wywózki na Syberię, skończyło się jednak tylko na opuszczeniu mieszkania i zawieszeniu praktyki adwokackiej.

Prawdziwa gehenna zaczęła się 30 czerwca 1941 roku. Wraz ze swoją rodziną musiał kilkakrotnie przeprowadzać się do coraz gorszych mieszkań, był bity i okradany. Znalazł się w getcie, a po jego likwidacji w Obozie Janowskim. Od niechybnej śmierci uratowała go ucieczka z obozu, po której wraz z żoną i kilku innymi osobami ukrywał się u polskich znajomych przy ulicy Warszawskiej. Wskutek zagrożenia donosem musieli poszukać innego schronienia i znaleźli je w gospodarstwie rolnym Kalwińskich. Jego ukrywanie się przypadło na ten sam okres co Seweryna Wollocha, a mianowicie od listopada 1942 do 27 lipca 1944¹⁵.

¹³ *Dzieci Holokaustu mówią...*, t. 4, s. 270–271

¹⁴ Edmund Kessler, *Przeżyć Holokaust...*, s. 43

¹⁵ Tamże, s. 45



Upamiętnienie zagłady Żydów lwowskich na miejscu zburzonej synagogi Złotej Róży, fot. Antoni Wilgusiewicz

O ile ukrycie jednego małego chłopca w mieszkaniu polskiej rodziny nie było bardzo skomplikowane, choć oczywiście niebezpieczne, to ukrycie ponad 20 Żydów – mężczyzn, kobiet i dzieci w podziemnym bunkrze o wymiarach 5 na 7 metrów stanowiło już prawdziwe wyzwanie. Samo wyżywienie takiej liczby osób było bardzo trudne, ale możliwe dzięki pracy Kalwińskich w swoim gospodarstwie rolnym i sprzedaży części płodów na targu, gdzie dokupywano inne potrzebne towary, jak mydło. Magazynowanie w domu większej ilości towaru było usprawiedliwione przez fakt istnienia tam Komitetu Pomocy Polakom uciekającym z terenów objętych terrorem ukraińskim¹⁶.

Oczywiście, nad mieszkającymi w bunkrze Żydami i ukrywającą ich rodziną stałe wisiło niebezpieczeństwo zdemaskowania, jak stało się z podobnym bunkrem u sąsiadów, gdzie przebywała jeszcze większa, bo 34-osobowa grupa Żydów. Ukraiński policjant, zwabiony głośną kłótnią, sprowadził Niemców, którzy wymordowali ukrywających się i powiesili dwóch synów gospodarza, jemu samemu cudem udało się uniknąć śmierci. Przygotowani na taką ewentualność mieszkańcy bunkra u Kalwińskich mieli przy sobie truciznę i byli gotowi do jej użycia¹⁷.

Żydzi, którzy przeżyli wojnę dzięki rodzinie Kalwińskich, podkreślali bardzo wyraźnie swoją ogromną wdzięczność. Doceniali wysiłek całej rodziny, a zwłaszcza 16-letniego wówczas Kazika, który dbał o ich codzienne potrzeby i ostrzegał przed niebezpieczeństwem. Wszystko to przebiegało w warunkach bezpośredniego narażenia życia nie tylko ukrywanych, ale i ukrywających. Jedno z ukrywanych dzieci, wówczas 12-letnia Lusja, także w liście z 2004 roku bardzo serdecznie i z wielką wdzięcznością wspominała Kalwińskich¹⁸. Córka Edmunda, Renate, urodzona już po wojnie, odbyła podróż do Polski, aby spotkać po latach Kazika, lecz przedtem odwiedziła Instytut Yad Vashem i tam odnalazła drzewko

posadzone ku pamięci rodziny Kalwińskich, zaliczonej do Sprawiedliwych Wśród Narodów Świata. Zawitała także do Lwowa, do domu, w którym jej rodzina przeżyła najtrudniejsze dwa lata swego życia, i została przyjaźnie przyjęta przez mieszkającą tam obecnie ukraińską rodzinę. Cytuje wiersz swego ojca:

– *Wyście dobrzy ludzie.
Dziś wiem, że fakt, że żyję tkwi tylko
w tym cudzie,
że się na świecie znaleźli tacy dzielni
ludzie*¹⁹.

Inaczej wyglądały losy kolejnego ocalałego, znanego pisarza Stanisława Lema, w chwili wkroczenia Niemców do Lwowa młodego, 20-letniego mężczyzny. Już sam początek był dla niego szczęśliwy, o ile to słowo jest na miejscu. Zapędzony wraz z innymi Żydami do wynoszenia trupów pomordowanych w więzieniu, nie został zastrzelony, ale wypuszczony z rąk Ukraińców przez Niemców. Później udało mu się znaleźć zatrudnienie w pracującej dla Niemców firmie Rohstofffassung; dawało to tak zwane „mocne papiery”. Utrzymywał też kontakty z AK i prawdopodobnie dzięki temu można

¹⁶ *Funkcjonowanie bunkra oczami Kazimierza Kalwińskiego, ostatniego żyjącego świadka ukrywania rodziny Kesslerów* [w:] Edmund Kessler, *Przeżyć Holokaust...*, s. 117–118

¹⁷ Tamże, s. 121–122

¹⁸ *List Lusi Sicher...* [w:] Edmund Kessler, *Przeżyć Holokaust...* s. 129–133

¹⁹ Renate Kessler, *List do czytelników* [w:] Edmund Kessler, *Przeżyć Holokaust...*, s. 8

było zorganizować ucieczkę z getta jego rodziców, Sabiny i Samuela Lemów. Udało im się przeżyć wojnę w odróżnieniu od wielu innych członków rodziny, którzy zginęli w getcie czy odbywających się cyklicznie masowych egzekucjach. Tak np. Mark Wollner, laryngolog, brat matki pisarza, zginął podczas tzw. Dni Petlury.²⁰ Z biegiem czasu stawało się jednak jasne, że nawet najlepsze papiery nie uchronią przed zagładą. Wówczas Stanisławowi udaje się zmienić tożsamość – staje się Ormianinem, Janem Donabidowiczem i zamieszkuje u państwa Podluskich przy ulicy Zielonej. Paradoksalnie wychodzi z domu, aby nie stwarzać wrażenia, że jest ukrywającym się Żydem, jednak nie do pracy (posiadał oszczędności ojca, które pozwalały mu przeżyć), a do wypożyczalni książek, które pochłaniał. W pełnej grozy sytuacji tworzy swą pierwszą powieść science fiction, z dziedziny, w której uzyskał później światową sławę – *Człowiek z Marsa*²¹. W ten sposób udało mu się dotrzeć do wkroczenia wojsk radzieckich; życia w radzieckim Lwowie jednak sobie nie wyobrażał i latem 1945 roku wraz z rodzicami znalazł się w Krakowie²².

Mimo różnorodności losów Ocalałych można w nich dostrzec wspólny z Sewerynem Wollochem mianownik, który już wcześniej pokazałem: o ocaleniu decydował splot okoliczności. Były wśród nich cechy osobiste, jak odwaga i determinacja, pomoc – także materialna – rodziny, znajomych, kolegów, i, co bardzo ważne, spotkanie na swej drodze ludzi życzliwych i odważnych, których stać było na podjęcie ogromnego ryzyka związanego z ukrywaniem Żydów. Potrzebne było także zwykłe szczęście, którego wielu ukrywającym się niestety zabrakło.

Po powrocie do Lwowa wojsk radzieckich Seweryn rozpoczął już jawne życie w nim, ale nadal posługując się nazwiskiem Juliusz Krawiecki. Ukończył szkołę, jak inni rozpoczął pracę, należał do związków zawodowych i Komsomołu. W 1952 roku jakimś sposobem władze dowiedziały się, kim jest naprawdę i nakazano mu powrót do dawnego nazwiska. Łączyło się to ze sporym stresem, ale dyskusji nie było – musiał wy-

mienić wszystkie dokumenty. Pracując jako monter w lwowskiej rozgłośni radiowej ukończył technikum, awansował. W 1959 roku ożenił się po raz pierwszy, z Polką, która niestety zmarła przy porodzie. Po kilku latach ożenił się ponownie; jego żona była nauczycielką w szkole polskiej we Lwowie. Doczekali się dwojga dzieci – syna i córki.

Mimo wykonywania zawodu technicznego czuł powołanie do sztuki, dlatego od 1962 roku rozpoczął występy w Polskim Teatrze Ludowym we Lwowie. Obcował tam z polską klasyką, występował w *Fantazym Słowackiego* i *Karpackich górach* Józefa Korzeniowskiego. Będąc obywatelem radzieckim czuł się Polakiem pochodzenia żydowskiego, takie określenie będzie chyba najbliższe prawdy. Swoich żydowskich korzeni nie eksponował, ale też nie ukrywał. Kiedy czasy się zmieniły, zaczął starania o wyjazd do Polski, co umożliwił mu kuzyn przez zakup mieszkania w Bytomiu (1990). Odtąd aż do śmierci był bytomianinem, ale też lwowiakiem. Systematycznie brał udział w spotkaniach Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, z tym że wołał Oddział Katowicki, co wiązało się z cotygodniowymi dojazdami. Podczas spotkań często zabierał głos, komentując krytycznie radziecką i postradziecką rzeczywistość, którą znał bardzo dobrze. Nie zerwał też kontaktów z Teatrem Ludowym ze Lwowa, jego dyrektorem Zbigniewem Chrząnowskim i aktorami, z którymi spotykał się podczas pobytów Teatru na Śląsku. Swoją pasję teatralną połączył z żydowskimi korzeniami, w 2007 roku wystawiając w katowickim klubie Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego Żydów klasyczną opowieść o Esterze i królu perskim Ahaswerusie (z okazji święta Purim). Sam wcielił się w rolę dążącego do zguby Żydom Hamana²³.

Czuł potrzebę podzielenia się swoimi wspomnieniami, dlatego spisał je za pośrednictwem Stowarzyszenia Dzieci Holocaustu i udostępniał zainteresowanym osobom. Pozostanie w mojej pamięci jako lwowiak, Polak żydowskiego pochodzenia, Ślązak z wyboru, ocalony z piekła Holocaustu. A pełną prawdę o sobie zabrał do grobu.

²⁰ Wojciech Orliński. *Lem...*, s. 73

²¹ Tamże, s. 87

²² Tamże, s. 99

²³ *Święto Purim na Śląsku*, „Dziennik Zachodni” z 12 marca 2007 roku.

Sławomir Zachariewicz

JULIAN OKTAWIAN ZACHARIEWICZ

NAJSŁYNNIEJSZY ARCHITEKT LWOWA DRUGIEJ POŁOWY XIX WIEKU,
CAŁKOWICIE ZAPOMNIANY OJCIEC POLSKIEJ ARCHITEKTURY

Przechadzając się wielokrotnie ulicami mego rodzinnego Krakowa, podziwiałem wspaniałe zabytki dawnej stolicy Polski. Te pochodzące z okresu średniowiecza, renesansu czy baroku, jak i te zbudowane na przełomie XIX i XX wieku. Doskonale pamiętam moment, gdy odwiedziłem moją bliską kuzynkę w jej nowo otwartym biurze przy ulicy Retoryka. Zachwycała mnie kamienica, w której owo biuro się mieściło. Kamienice pod numerami 1, 3, 7, 9, 15, wspaniała Kamienica pod Pająkiem przy Karmelickiej 35 czy niedawno odrestaurowany Szpital Bonifratrów to tylko wybrane dzieła Teodora Talowskiego. Kościół św. Józefa w Podgórzu (1909) czy kościół Redemptorystów (1907), kamienica przy Alei Słowackiego 7 – to z kolei dzieła Jana Sas-Zubrzyckiego. Co łączy obu panów poza faktem, że ich projekty zrealizowano w Krakowie? Obaj ukończyli Wydział Architektury Politechniki Lwowskiej pod kierunkiem mego pradziadka.

Drogi Czytelniku, postanowiłem zapoznać Cię z osobą niemal całkowicie zapomnianą. Julian Oktawian Zachariewicz to człowiek, któremu Rzeczpospolita wiele zawdzięcza. We Lwowie żywa legenda, dzisiaj w Polsce niemal anonimowy. Mnie jednak jest bliski i to w dosłownym tego słowa znaczeniu, ponieważ to w prostej linii mój pradziadek. W artykule podam sporo faktów z jego życiorysu, których zbieranie zajęło mi ostatnie kilka lat. Jest to o tyle ważne, że informacje dotyczące tego wybitnego Polaka nie są właściwie dostępne. Studentom architektury jest to znane nazwisko, jednak szukając materiałów trafiają w pustkę. Niedostępna jest biografia, właściwie żadne opracowanie naukowe poza jedną książką wydaną na Ukrainie, zawierającą niestety sporo błędów. Ja sam jeszcze muszę kilka spraw w tej kwestii wyjaśnić...

Julian urodził się 17 lipca 1837 we Lwowie. Wiadomo, że jego matka to Józefa z d. Grossman, ojciec nosił imię Jerzy



lub Grzegorz. Julian miał młodszego brata Aleksandra, żyjącego w latach 1836–1866. W rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim pochowany jest również Teodor Zachariewicz (1810–1897) – prawdopodobnie jego stryj. Pochodzenie rodziny Zachariewiczów nie jest dokładnie znane. Lwowscy Ormianie twierdzą, że rodzina ta pochodzi właśnie od nich – powołując się na podobieństwo nazwiska Zachariasiewicz. Jeden z naukowców próbował połączyć Zachariewiczów z pewnym nadwornym złotnikiem Jana III Sobieskiego, niestety po zgłębieniu materiałów źródłowych okazało się, że faktycznie taki złotnik dla polskiego króla pracował – był Ormianinem, ale nazwisko również jest tylko podobne. Gdy zadałem pytanie społeczności polskich Ormian, do

dzis nikt takiego połączenia z Ormianami nie znalazł. Profesor Katolickiego Uniwersytetu we Lwowie Ihor Zhuk twierdzi wręcz, że Ormianie wymyślili to powiązanie, chętnie podpisując się pod tak znaną we Lwowie personą. Będąc w grodzie Lwa można zajrzeć do restauracji Mons Pius znajdującej się przy ulicy Ormiańskiej właśnie, w której to na ścianach wiszą portrety słynnych Ormian. Jest tam również portret Juliana Oktawiana wraz z namalowanym szlacheckim herbem Lwigród. Wydaje się, że dopóki nie znajdziemy odpisu aktu chrztu lub innego dokumentu – kwestia pochodzenia pozostała jednak nierozwiązana...

Julian po ukończeniu gimnazjum rozpoczął naukę w Lwowskiej Akademii Technicznej. Po pewnym czasie przeniósł się na studia do założonego w 1815 roku Cesarsko-Królewskiego Instytutu Politechnicznego, znajdującego się w Wiedniu. To była dość powszechnie stosowana wówczas praktyka, ponieważ obie uczelnie ściśle ze sobą współpracowały. Julian w Wiedniu przyjaźnił się z Ludwikiem Wierzbickim, który studiował na tamtejszej Akademii Sztuk Pięknych, ale naukę uzupełniał na kierunku inżynierskim wiedeńskiej Politechniki. Obaj wrócili w późniejszych latach do Lwowa, a ich przyjaźń trwała aż do śmierci Juliana. Warto odnotować, że Wierzbickiemu wille własną przy Metrologicznej (Strzała) 2 zaprojektował syn Juliana – Alfred. Dla mnie ciekawostką ujawnioną stosunkowo niedawno jest to, że Wierzbicki to prapradziadek matki kuzynki mojej żony Agaty. Jak to mówią, lwowiak lwowiaka znajdzie choćby na końcu świata... Zarówno we wspomnieniach Wierzbickiego, jak i Zacharewicza można znaleźć informację o ich fatalnej sytuacji finansowej podczas studiów. Dorabiali rysując karykatury, dając korepetycje, a i tak czasami całodzienny posiłek składał się z herbaty i chleba.

Julian zmieniał w ciągu swojego życia upodobania architektoniczne. Można zaryzykować stwierdzenie, że okres wiedeński miał na niego ogromny wpływ. Praktykę odbywał pod kierunkiem profesora Ernsta podczas remontu katedry św. Szczepana. Wiedeń w latach 60. XIX wieku był nie tylko remontowany, ale powstawały w nim najróżniejsze gmachy użyteczności publicznej, pałace oraz kamienice... „Taka jest moja

wola...” – tymi słowami cesarz Franciszek Józef zarządził w roku 1857 budowę Ringstraße. Dzisiaj to jedna z najważniejszych atrakcji Wiednia, a gmachy wzniesione są w stylu imitującym poprzednie epoki. Jak wiadomo, spory wkład w wygląd ringu miał Gottfried Semper, który zaproponował teorię „bryły artystycznej”, łączącej w jedną całość „problemy” artystyczne, historyczne i inżyniersko-techniczne. Julian, już jako absolwent, był świadkiem tego „placu budowy”, a że potrafił być świetnym obserwatorem – okres ten w dużym stopniu ukształtował go jako znakomitego architekta.

Architektura architekturą, ale trzeba było jakoś zarabiać na chleb. Po ukończeniu studiów w 1858 roku rozpoczął pracę w Głównej Dyrekcji Budownictwa Kolei Państwowych w Wiedniu, następnie po dwóch latach został mianowany dyrektorem tzw. Kolei Żelaznej Karola Ludwika z siedzibą w Czerniowcach. Pracował na tym stanowisku przez 10 lat, a prywatna linia obsługiwała trasę z Wiednia, poprzez Kraków, Lwów, Czerniowce, aż po Jassy.

Julian bardzo lubił podróżować. Z jednej z eskapad, oprócz wielu wrażeń czy rysunków, przywiózł... żonę. Anna Józefa David, Dunka, pochodząca z bardzo zamożnej i wpływowej rodziny, była córką ministra spraw zagranicznych rządu Danii, związana z dworem zarówno austriackim, jak i carskiej Rosji. We wspomnieniach zachowały się informacje o tym, jak Anna umawiała się na „popołudniową herbatkę” z córką rosyjskiego cara Romanowa. Jest to zarazem jedyny fakt mogący w jakiś sposób tłumaczyć przyznanie Julianowi wysokiego odznaczenia nadawanego w zaborze rosyjskim – orderu św. Stanisława. Julian w okresie pracy na kolei próbował realizować się w branży, którą pokochał. Niestety nie mając kontaktów jego praca ograniczała się do renowacji jednej z synagog w Czerniowcach oraz kilku



Nagrobek Juliana Zacharewicza z prowizoryczną tablicą

innych świątyni. Pierwszym „poważnym” zleceniem było zaprojektowanie dworca w Jas-sach, otwartego w roku 1870. Projekt ten był swego rodzaju przełomem. Dzięki niemu zaproponowano Julianowi objęcie etatu wykładowcy i kierownika Katedry Budownictwa Lądowego we Lwowie. Zaoferowaną pracę chętnie przyjął i przeprowadził się z żoną oraz pierwszym synem do grodu Lwa. Syn – Viggo Aleksander Benedykt Zachariewicz urodził się w roku 1869, później ukończył wydział medyczny UJ w Krakowie. 26 lipca 1871 na świat przyszedł drugi syn Anny i Juliana – Alfred. Miało to miejsce już we Lwowie, gdzie Julian pracując w Alma Mater mianowany został cesarskim postanowieniem profesorem zwyczajnym. Było to dokładnie 16 lipca 1871 roku. Wiadomo, że przyznano mu dodatek osobisty w wysokości 700 guldenów, zwanych również złotymi, aby wyrównać pensję do poborów wcześniej wypłacanych na kolei.

Julian na Akademii Technicznej zastał projekty nowego budynku, do którego uczelnia miała zostać przeniesiona. Jego lokalizacja to tzw. lwowskie Corso, czyli Wały Hetmańskie i ulica Akademicka. Wraz z niebywale dynamicznym rozwojem uznano, że również ten planowany gmach będzie dla uczelni zbyt mały. Namiestnik Galicji hrabia Agenor Gołuchowski uzyskał dla Lwowa decyzję cesarską zezwalającą na budowę gmachu własnego Akademii, zatwierdzono również finansowanie nowej inwestycji. Decyzja nosi datę 12 marca 1872. Warunek był jeden – Polacy mieli w swojej gestii „załatwienie” terenu pod nową inwestycję. Nie stanowiło to żadnego problemu. Lwów to przecież od czasów Kazimierza Wielkiego polskie miasto zamieszkałe w drugiej połowie XIX wieku w ok. 60 procentach przez Polaków. Za symboliczną sumę teren

w południowej części miasta zwanej Nowym Światem nabyto od hrabiny Fredrowej. Kolegium wybrało komitet budowniczy i nadzorczy, w którego skład weszli rektor Feliks Strzelecki, Józef Jaegermann oraz Julian Zachariewicz. Należy zaznaczyć, że najprawdopodobniej wstawiennictwo żony oraz jej kontakty umożliwiły Julianowi to, że został wybrany do sporządzenia projektu nowego gmachu. Owszem, był profesorem, jednakże we Lwowie było wówczas kilku architektów z dorobkiem, którym Julian nie mógł się pochwycić. Miał jednak niespotykaną charyzmę, był ceniony przez studentów oraz kolegów profesorów. Uznawany był za niezwykle pracowitego wykładowcę. Komitet w wyżej wymienianym składzie osobiście złożył podziękowanie cesarzowi. Było to pierwsze, jednakże nie ostatnie spotkanie Juliana z cesarzem. Cesarska audycja, o której mowa, miała miejsce 18 kwietnia 1872 r.

Profesor Zachariewicz natychmiast zabrał się do pracy. Odbił podróż po Niemczech, Austrii, Danii oraz Szwecji. Potomkowie Alfreda mieszkający w Warszawie dysponują notesem, którego część zawiera szkice z owej eskapady. Są to widoczki nadmorskie z Kalmaru, detale rzeźbiarskie ze Sztokholmu czy ozdobna krata z kościoła w duńskim Roskilde. Julian miał wówczas 35 lat, a gotowe projekty gmachu głównego uczelni oraz osobnego, znajdującego się na tyłach Politechniki budynku Instytutu Chemii przedstawił już rok później (<http://www.lvivcenter.org/pl/uid/picture/?pictureid=8462>). Gmach główny w projekcie wyglądał nieco inaczej. Przy portalu głównym zastosowano kolumny jońskie, jednakże Julian był otwarty na wszelkie sugestie i już w czasie budowy, po dyskusjach z Leonardem Marconim, postanowił ustawić kolumny w porządku korynckim. Podobnie było ze zwieńczeniem



Plaskorzeźba Marconiego i klatka schodowa – Galicyjska Kasa Oszczędności

fasady, gdzie pierwotnie miał się znaleźć duży, trójkątny fronton, finalnie zmieniony na attykę wieńczącą ryzalit. Na attyce ustawiona została alegoryczna grupa trzech siedzących postaci dłuta Marconiego właśnie, uosabiająca trzy wydziały: Inżynierię, Architekturę oraz Mechanikę. Po dziś dzień jest tam złożony napis *Litteris et Artibus* – naukom i sztukom. Budowę głównego gmachu pod kierunkiem J. Zachariewicza prowadzili przedstawiciele „Banku Budowlanego” – architekci: Kędziński, Kamieniobrodzki oraz Hauff. Codziennie do pracy stawiało się w sumie kilkuset murarzy, kamieniarzy i cieśli. Jako budulec wykorzystywano kamień z kamieniołomów w Trembowli i Demni, gips natomiast dostarczano z lwowskiej fabryki Józefy Franz. W roku 1876 wykończono fasadę, a 1 października 1877 roku gmach główny w całości. Dla uzyskania karminowej barwy części fasady użyto podobno tysięcy żółtek kurzych jaj. Kolor ten przetrwał zabór, I wojnę światową, II RP, II wojnę oraz ponad 45 lat panowania sowieckiego. Z całkowicie nieznanymi przyczyn w wolnej Ukrainie postanowiono fasadę przemaalować... Jeżeli chcemy zatem obejrzeć, jaki zamysł miał architekt, musimy sięgnąć do archiwalnych zdjęć. Uroczyste poświęcenie gmachu Politechniki odbyło się 15 listopada 1877 roku. Julian Zachariewicz, mianowany nowym rektorem Politechniki, wystąpił z wykładem inauguracyjnym *O sztuce w usługach techniki*. Nieco wcześniej, wiosną 1877, w prelekcji *O architekturze* pradiadek podkreślił, jak ważne jest połączenie kompozycji z jej funkcjonalnością oraz powszechnie rozumianym pięknem. Politechnika jest kwintesencją tych poglądów, dość powiedzieć, że w czasie II wojny światowej gmach został chwilowo przemianowany na szpital ze względu na bardzo nowoczesne rozwiązania, między innymi pełnych węzłów sanitarnych znajdujących się na każdym piętrze. Profesor znany był z tego, że lubił dozować doznania. Akcenty zdobnicze stopniowo narastają od dość skromnej fasady do westybulu, głównej klatki schodowej oraz wnętrza sal. Kiedy skierujemy się w stronę schodów, po lewej stronie zobaczymy ustawione na granitowym postumencie popiersie Juliana, wykonane z białego, kararyjskiego marmuru przez Juliusza Wojciecha Bełtowskiego. Pod popiersiem znajdziemy niegdyś dobrze wi-



doczny, dzisiaj jakby ukryty napis w języku polskim „Julian Zachariewicz 1837–1898. Grono profesorów swojemu koledze, uczniowie swemu mistrzowi”.

W prywatnym życiu Juliana w 1873 zażyły bardzo poważne zmiany. Anna Józefa urodziła córeczkę, niestety poród nie przebiegł prawidłowo i pomimo wysiłków lekarzy na początku 1874 roku zmarła. Na cześć matki maleństwo otrzymało jej imię. Niewielu wierzyło, że dziewczynka przeżyje, w tym samym domu zamieszkała jednak daleka krewna, która z ogromną troską zajmowała się Anią. To pierwsza, lecz niestety nie ostatnia tragedia w życiu Profesora. Jak już wcześniej wspomniałem, pierwszy syn Viggo urodził się w 1869 roku, czyli w momencie śmierci matki miał niespełna 5 lat. Traumatyczne wydarzenie być może skłoniło go do podjęcia w przyszłości studiów na uczelni medycznej, gdyż chciał mieć możliwość pomagania bliskim. W 1895 roku do Lwowa dotarła epidemia i Viggo już jako młody lekarz mocno zaangażował się w ratowanie chorych. Niestety sam został zarażony i w wieku 26 lat, jeszcze za życia swego ojca, zmarł.

Julian po śmierci żony jest zrozpaczony, ukojenia szuka w pracy. Oprócz budowy Politechniki od 24 stycznia zostaje radnym i bierze czynny udział w pracach tzw. sekcji III (budownictwa i robót publicznych). Z 1874 roku pochodzi też projekt nagrobka, dziś odrestaurowanego, lecz w zupełnie zmienionej formie. W przewodnikach, Drogi Czytelniku, znajdziesz informację, że nagrobek jest zaprojektowany przez samego Juliana, ale nie jest to prawda. Waza jońska ustawiona obecnie mocno odbiega od oryginału, identyczna jest zresztą kilkadziesiąt metrów dalej na grobowcu pochodzą-



Profesorowa Ludwina Zachariewicz,
mal. Jan Styka

jednakże dostrzegli, że jest ktoś, kto dba o dobre imię przodka i kiedy przystąpili do remontu Galicyjskiej Kasy Oszczędności, jeden z urzędników osobiście napisał do mnie list z informacją, że polski napis wielokrotnie zasłaniany został odrestaurowany w pierwotnej formie.

Wróćmy jednak do samego Profesora. W 1875 roku w czasie ferii zimowych Julian otrzymuje dodatkowy urlop aż do 16 lutego 1876 roku. Znamienne jest, że w podróż, w którą się udał, wyruszył w wigilię... Być może pusty dom bez ukochanej żony, wspomnienia poprzednich świąt były dla niego zbyt świeżym wspomnieniem? W zachowanym notesie są zapiski z owej podróży: Kraków, Wiedeń, Werona, Mediolan, Certosa di Pavia, Genua, Florencja. 11 stycznia był w Sienie, następnego dnia w Pizie, później 5 dni w Rzymie i Neapolu, przez Bolonię i Wenecję wrócił do Lwowa. Oprócz zapisków w notesie są też rysunki między innymi chrzcielnicy ze świątyni w Empoli z adnotacją „bardzo ładna robota”. Po powrocie zajął się budową Politechniki, o czym pisałem wcześniej. Warto dodać, że powstały jako pierwszy Instytut Chemii częściowo spłonął w 1885 roku. Podczas odbudowy Julian „dolożył” jedną kondygnację i schody.

Profesor mimo natłoku zajęć zdołał poznać wspaniałą i bardzo piękną kobietę – młodą wdowę Ludwinę Gromadzińską z d. Sidorowicz. W 1877 roku ożenił się, Ludwina miała wówczas 26 lat. Stworzyli nowy dom, do którego dołączył również syn Ludwini. Z prywatnych informacji przekazywanych przez Annę Godlewską wiadomo, że trójka pasierbów życia macosze niestety nie umiała. Czasem w domu pojawiał się konflikt dotyczący pociech, szczególnie kiedy Ludwina urodziła Julianowi córkę i syna. Niestety istniał podział na „moje dzieci, twoje dzieci, nasze dzieci”. Ze wspomnień Anny Godlewskiej można wywnioskować, że starała się w późniejszych latach wynagrodzić macosze dziecięce wybryki.

Jesienią 1877 Politechnika rozpoczęła oficjalną działalność w nowym gmachu. Na inaugurację przybyli: austriacki minister oświaty Karl von Stremayr, arcybiskupi trzech katolickich obrządków Lwowa – rzym-

cym z lat wcześniejszych. Grobowiec został uszkodzony podczas wojny na skutek wybuchu bomby, a później także okradziony. Niegdyś znajdowały się tam tablice z brązu z imionami wszystkich zmarłych, na frontonie widniała płaskorzeźba przedstawiająca chór aniołów. Wiele lat później Politechnika zleciła remont, w wyniku którego nazwiska wyryte są na tablicach kamiennych, a ta główna została, o zgrozo, napisana w języku... ukraińskim. Julian biegle władał ponoć sześcioma językami (w tym duńskim), języka używanego przez Rusinów jednak nie znał. W roku 2015 na swoją odpowiedzialność przykleiłem do grobowca tablicę w języku ojczystym architekta, zrobiła się z tego zresztą poważna awantura. Proszę mnie nie podejrzewać o samowolkę – chciałem wszystko załatwić lege artis. Ze znającą ukraiński język przewodniczką wybrałem się do zarządu cmentarza, skąd odesłano mnie na Politechnikę, stamtąd do Ratusza, a z niego z powrotem do zarządcy nekropolii. Jak to na Ukrainie, totalna psychologia. Po moim „wybryku” na cmentarzu zebrała się ponoć cała polsko-ukraińska komisja, która uznała, że faktycznie podczas kolejnego remontu należy przywrócić napisy w języku polskim. Remont miał się rozpocząć w 2017 roku, jednak, jak dotąd, sprawa ucichła – na szczęście tablica ma się dobrze. Ukraińcy

skiego Franciszek Ksawery Wierzchleyski, greckiego Józef Sembratowicz oraz ormiańskiego Grzegorz Józef Romaszkan, namiestnik Galicji Alfred Potocki, marszałek Sejmu Krajowego Ludwik Wodzicki oraz ówczesny rektor Uniwersytetu Lwowskiego Ludwik Rydygier. Na rektora wybrano profesora Zachariewicza, Julian wygłosił wydany później drukiem odczyt *Sztuka na usługach techniki*. Na wieczornym bankiecie odbyła się nobilitacja Juliana do stanu szlacheckiego przez cesarza Franciszka Józefa. Profesor został także odznaczony orderem Żelaznej Korony III klasy. Ciekawostką jest, że nie była to pierwsza próba nobilitacji Zachariewicza. Wcześniej Julian zwyczajnie odmawiał samemu cesarzowi twierdząc, że nie zamierza przyjmować tego tytułu z rąk zaborcy. Takim to wielkim patriotą był pradziadek. Przyjaciele i dostojnicy przekonali jednak w końcu Profesora, że oddanie gmachu oraz wizyta samego cesarza jest doskonałą okazją, aby przyjąć owe honory. Jego Magnificencja Pan Rektor Julian Oktawian Zachariewicz otrzymał zgodę na używanie przydomku „z Lwirodru”. Nie pozwolił jednak na zaprojektowanie herbu wiedeńskim heraldykom. Stworzył go sam, umieszczając w nim jeden z karcianych kolorów – trefla. I znów pozwolę sobie posłużyć się rodzinnymi przekazami. Otóż ponoć cesarz przybył do Lwowa w stroju wojskowym i obawiano się, że podobnie odziany będzie na balu. Tak się jednak na szczęście nie stało. Gmach gmachem – jednakże na balu, jak wieść niesie, oczy władcy skierowane były głównie... na moją prababcie. Młoda Profesorowa Ludwinia Zachariewicz była podobno podczas tego balu najpiękniejszą kobietą... To kolejne spotkanie Juliana z cesarzem nie było ostatnie. Najjaśniejszy Pan wizytował szkołę osobiście 13 września 1880, pojawiając się w niej przy okazji jesiennych manewrów. Zwiedzając uczelniane gmachy wyrażał się niezwykle pochlebnie na temat tego, co zobaczył. Ofiarował uczelni naturalnej wielkości swój portret pędzla Franciszka Krudowskiego, zamówił także w pracowni Matejki cykl jedenastu obrazów przedstawiających postęp nauki i techniki. Nie cieszyły się one jednak wyjątkowo dobrą opinią, wykonane przez uczniów mistrza były



czasem obiektem drwin studentów „Macierzy Polskich Szkół Technicznych” (tak Politechnikę wielu nazywa). Faktycznie, uczelnia owa była jedyną techniczną szkołą, gdzie językiem wykładowym był polski. Kończyły ją co roku setki studentów, często również spoza Lwowa, a nawet z terenów innych zaborów. Kiedy Polska odzyskała w końcu niepodległość, Warszawa „zassała” architektów, inżynierów, konstruktorów ze Lwowa. „Kim”, mówiąc kolokwialnie, moglibyśmy budować kraj, gdyby nie Lwów, wydaje się być pytaniem retorycznym...

Julian był rektorem w latach 1877/78 oraz 1881/82, a także dziekanem Wydziału Architektury od 1872 do 1877; profesorem wykładowcą aż do śmierci, czyli do roku 1898.

W 1880 ukończono projektowany przez pradziadka kościół w Zarzeczcu koło Jarosławia, w 1882 pałac gościnny w Raju, powiat Brzeżany. Pod koniec lat 70. XIX wieku architekt zaczął zmieniać nieco swoje rozwiązania. Renesansowe i klasyczne wzory zaczęła wypierać architektura romańska, czego doskonałym przykładem jest lwowski klasztor oraz kościół Franciszkanek, konsekrowany 29 IX 1889 roku przez nuncjusza papieskiego w Wiedniu Alessia Galimber-



Popiersie Juliana w westyblu Politechniki Lwowskiej

tiego. Julian pragnął zamurować w ołtarzu głównym – zgodnie ze średniowiecznym zwyczajem – trumienkę z relikwiami świętych. Jednak jako protestant spotkał się z odmową. Czynność tę wykonał więc Jan Kajetan Janowski. Odmowa wynikała z faktu, że Julian pod

wpływem swojej pierwszej żony zmienił wyznanie na ewangelicko-augsburskie. Z jakiego, jak pisałem wcześniej, nie wiadomo.

W podobnej formie Julian Zachariewicz zaprojektował kościół parafialny pw. św. Wojciecha w Bucniowie koło Tarnopola, ufundowany przez Teodora Alfreda Serwatowskiego (obecnie cerkiew św. Piotra i Pawła), a także własną willę „Julietkę” zlokalizowaną na Kastelówce.

Kastelówka – ogromne przedsięwzięcie zrealizowane przez Zachariewicza oraz jego współnika Jana Lewińskiego. Wspólnicy, a także wieloletni przyjaciele kupili od pewnego Włocha o nazwisku Castello ogromny, oddzielony od podmiejskiego obszaru stawami i moczarami, zupełnie niezaludniony teren, znajdujący się pośród wąwozów i wzgórz. Część tych nieużytków przekształcona już była w Park Stryjski, a mówimy teraz o obszarze zlokalizowanym nieco na zachód, zwanym potocznie „Bajkami”. Nazwa ta nieco przewrotnie dotyczyła „bajecznego” błota czy podobnego „bezpieczeństwa” w związku z pojawiającymi się tam lwowskimi rzeźmieszkami. Zachariewicz i Lewiński podzieliwszy teren na działki, zamierzali projektować domy i sprzedawać je razem z parcelami. Jak wspominał Adam Krajewski: *I oto ledwie 20 lat minęło, a na gruzach Bajek stanęło niemal nowe miasto, nawiasem mówiąc ładniejsze od rodzimego Lwowa (...) dzielnicą dziesiątkami smukłych willi strzelająca.* Najpiękniejszym domem, który na Kastelówce powstał, była willa własna Profesora, zbudowana jako prezent dla ukochanej żony Ludwini. Jak już wspominałem – Zacharie-

wicz zaprojektował gmach Politechniki w rok, natomiast projekt Julietki powstawał przez 5 lat. Willa była – niestety celowo używam czasu przeszłego – najpiękniejszym domem Kastelówki i absolutnie jak na owe czasy nowatorskim budynkiem. Począwszy od nowoczesnych rozwiązań jak system centralnego ogrzewania, poprzez zastosowane materiały, a także fakt, że każdy bok domu był fasadą i to nawiązującą do innego stylu! Po wojnie niestety budynek został najpierw przekształcony w państwowe przedszkole, a następnie był w gestii Służby Bezpieczeństwa. Brak remontów przez ponad 70 lat doprowadził willę niemal do ruiny, dzisiaj właścicielem jest obywatel Ukrainy, który przez chwilę prowadził w niej hostel, obecnie obiekt jest ponoć wynajmowany prywatnej firmie. Po pięknych ogrodach, do których Julian sprowadzał rośliny z całej Europy, również nie ma śladu, teren został od domu oddzielony i w czasach socjalistycznych wybudowano na nim paskudny budynek służący do dziś jako przedszkole.

Warto dodać, że współnicy przekazali bezpłatnie jedną z działek przy ulicy Issakowicza pod budowę „Domu Techników”, który to dom został oddany do użytku jeszcze za życia Profesora w 1895 roku.

W 1882 roku Wydział Krajowy na wzór Uniwersytetów ze Lwowa oraz Krakowa zwrócił się z formalnym wnioskiem o przyznanie rektorowi stałego udziału w obradach tzw. głosu wirylnego. Na pozytywne jego rozpatrzenie trzeba było czekać aż do 19 stycznia 1896 roku. Nikt jednak nie śmiałyby zabronić Profesorowi takiego udziału, gdyby to było jego wołą. Zachariewicz nie dość, że był wówczas znany przez niemal wszystkich mieszkańców Lwowa, to szacunek i podziw miał zapewniwożno. Potęgowały go opinie studentów o swoim dziekaniu. Ważną datą jest również rok 1883 – wówczas to Julian wszedł do parlamentu wiedeńskiego jako poseł, pierwszy polski inżynier w jego składzie.

Julian nie projektował zbyt wiele. Jego powołaniem było nauczanie innych. Studenci często wyjeżdżali ze swoim Profesorem poza mury uczelni. Z jednej z eskapad Julian napisał pracę pt. *Wycieczka do Załukwi, Halicza i na Kryłos.* Nie oznacza to, że projektowanie całkowicie zarzucił. Spod jego ręki

wyszedł projekt pałacu Reyów w Psarach, pałacu w Raju, przebudowy willi Tyszkiewiczów w Wilnie, renowacji zamku w Husiatynie, kościoła pw. św. Michała Archaniola w Zarzeczu, ufundowanego przez Dzieduszyckich. Hrabia Tadeusz Dzieduszycki był współfundatorem cerkwi św. Pareskiej znajdującej się w Żelechowie Wielkim. Projekt wykonał Julian Zachariewicz, a zamówił go... Jan Zachariasiewicz. W 1877 roku ukończono budowę Synagogi Tempel w Czerniowcach, którą kierował sam Profesor. Mury tego budynku były tak silne, że mimo decyzji w 1945 roku o zburzeniu świątyni, nie poddały się. Synagoga została zatem przebudowana. Obecnie mieści się tam kino „Czerniowce”. W Polsce, oprócz kościoła w Zarzeczu, możemy spotkać ślad twórczości Juliana w Tarnowie, a konkretnie w jego najokazalszym budynku, czyli katedrze. Została ona gruntownie przebudowana, a projekt przebudowy oraz opiekę nad wykonawstwem powierzono Zachariewiczowi. Sakralny obiekt mocno „urósł”, a uwagę przykuwa złota korona ku chwale Franciszka Józefa I. Można by rzec, że panowie po latach się „dogadali”, jednak od razu to zdementuję. Pradziadek nigdy czegoś takiego by nie zrobił na cześć zaborcy. Umieszczenie korony nastąpiło w rok po śmierci Juliana, a decyzję podjęło duchowieństwo diecezji tarnowskiej. Co do samego Juliana i Franciszka – można spotkać się z anegdotą, że pierwsza międzymiastowa rozmowa pomiędzy Lwowem a Wiedniem to właśnie rozmowa Profesora z Cesarzem. Kolejny znany budynek zaprojektowany przez pradziadka to willa Jana Styki we Lwowie. Ciekawie jest w nim umieszczone ogromne okno pracowni. Życzeniem malarza było, aby skierować je w taką stronę, żeby przez żaden moment dnia nie wpadało doń światło słoneczne. Nie są to potwierdzone informacje, ale ponoć między Julianem a Janem doszło do pewnego nieporozumienia, mianowicie Jan projekt domu zamówił – nie dysponował jednakże gotówką, aby za ów projekt zapłacić. Koniec końców kompromisem stało się namalowanie przez artystę portretów imponujących rozmiarów (140×70) zarówno Profesora, jak i jego żony Ludwini. Inny z obrazów mistrza zakupił jeszcze lwowski magistrat,

aby podreperować stan finansów artysty i umożliwić mu rozliczenie się z Profesorem. Obrazy profesorskiej pary wywędrowały ze Lwowa w 1938 roku wraz z najmłodszym synem Juliana Oktawiana na Pomorze. Odnalazły się kilka lat temu w galerii w Sopocie, niestety nie byłem w stanie ich odzyskać, gdyż płótna nie posiadają żadnej monografii. Nabył je prywatny inwestor. Szczęśliwie współwłaściciel galerii wykonał przed sprzedażą profesjonalne zdjęcia i dzięki temu mam obecnie w domu ich kopie.

Zabytki sztuki w Polsce to pochodząca z 1885 roku publikacja. Ważna praca używana do dziś w celach dydaktycznych. Zawiera ona bowiem zebrane pod kierownictwem Juliana pomiary i rysunki różnorakich budynków. Cenione zwłaszcza przez Ukraińców są rysunki starych cerkwi, właściwie to Profesor odkrył piękno drewnianych świątyń – dość powiedzieć, że stosunkowo niedawno jedną z nich odrestaurowywano na podstawie właśnie rysunku Juliana.

Zachariewicz uważany jest także za prekursora konserwatorstwa zabytków. W 1887 roku przeprowadzono gruntowny remont oraz przebudowę najstarszej lwowskiej świątyni katolickiej – kościółka Jana Chrzciciela znajdującego się nieopodal Wysokiego Zamku. Co ciekawe, jeśli można się dzisiaj spotkać z krytyką czegokolwiek autorstwa Juliana, to właśnie jest to owa przebudowa, jak i przebudowa kościoła Matki Boskiej Śnieżnej. Znaczący kwestionują słuszość nadania cech romańskich, a przecież Profesor wychodząc z założenia okresu, w którym kościółek Jana Chrzciciela był budowany, jak i mając wzgląd na jego fundatorkę – księżnę Konstancję pochodzenia węgierskiego (ówczesną żonę panującego księ-





Herb Lwigród

cia Lwa), uznał, że wpływy węgiersko-romańskie powinny przeważać nad kijowsko-bizantyjskimi. Pragnę zwrócić uwagę, że w XIX wieku nie tylko nie było powszechne, ale wręcz nie miało miejsca odrestaurowywanie zabytków. Obiekty były przebudowywane lub usu-

wane, jak choćby mury obronne mojego rodzinnego Krakowa...

Profesor nie tylko rysował, ale malował też obrazy. W domu potomków z linii Alfreda do dziś znajduje się naprawdę dobra kopia obrazu pewnego XIX-wiecznego malarza.

Do budowy stosował znakomite materiały absolutnie najwyższej jakości, jak nieotynkowane cegły w różnych kolorach czy majolikowe wstawki (patrz dom Styki). Interesował się ceramiką. Miał ogromny zbiór fajansowych dzbanów huculskich. Kilka z nich przetrwało do dziś, a jeden w doskonałym stanie. Projektował piękne i skomplikowane kraty. Jak wcześniej mówiłem, szczytem dbałości o detal jest biblioteka w gmachu Politechniki. Pomieszczenie z dębowym stropem z imitacją intarsji, ciekawie zaprojektowane szafy biblioteczne. Dla siebie samego zaprojektował fotel oraz biurko, przy którym pracował. Do Julietki zwoził wschodnie dywany, na terenie ogrodu oprócz wspaniałych roślin, o których już wspominałem, była również pieczarkarnia.

Wróćmy jednak do projektowania.

W latach 1888–1891 powstał gmach Galicyjskiej Kasy Oszczędności, uważany za szczytowe osiągnięcie Profesora. Znajdziemy w nim niebywale bogato zdobioną klatkę schodową. Budynek, oprócz tego że przepiękny, był również bardzo funkcjonalny. Jeśli staniemy z lewej strony wejścia i popatrzymy w górę – zauważymy umiejscowioną na elewacji płaskorzeźbę z wizerunkiem Profesora projektu Marconiego.

W zbiorach rodzinnych znajdują się również rysunki z *Wycieczki w powiat sokalski*, jednej z galicyjskich ekspedycji Profesora z jego studentami. Ukazane są na nich: kościół i klasztor Bernardynów w Sokalu,

święta figura w Siebiezowie, stara cerkiew w Warężu, a także małe kościółki ariański w Belzie. Na uwagę zasługuje fakt, że na jednej z wypraw ze studentami Julian zobaczył młodego chłopca, który podczas wypasania krów z zapalem rzeźbił coś w kawałku kamienia. Pradziadek zwrócił uwagę na jego (Grzegorza Kuźniewicza) talent, wybrał się do rodziców z prośbą o możliwość zajęcia się jego wykształceniem. Po uzyskaniu zgody pomógł chłopcu uzyskać stypendium Wydziału Krajowego i rozpocząć naukę w Państwowej Szkole Przemysłowej we Lwowie. Już podczas praktyk Grzegorz zaczął pracować w warsztacie znanego polskiego rzeźbiarza Juliana Markowskiego. Wraz z nim pracował przy realizacji rzeźb w wielu miejscach publicznych we Lwowie, m.in. posągu Fortuny do wnętrza Kasy Oszczędnościowej, szczytu fasady Pałacu Sztuki i pomnika J. Kilińskiego w Parku Stryjskim.

Rok 1894 to rok wielkiego wydarzenia we Lwowie. Odbyła się tam wówczas Powszechna Wystawa Krajowa. Była to manifestacja dorobku Narodu, a także Jego żywotności, a Profesor jako zagorzały patriota mocno się zaangażował w jej organizację. Zaprojektował wieżę wodną oraz kilka pawilonów. Latem odbyły się obchody stulecia kościuszkowskiego, a także pięćdziesięciolecia Politechniki. Uczelnia tuż przed tą datą zrównała się w prawach absolwentów z podobnymi uczelniami z Europy, a na uroczystościach pojawili się przedstawiciele z Wiednia, Budapesztu i Czerniowiec.

Wrzesień 1894 roku to epidemia cholery, pierwsza od dwudziestu lat, której pokłosem było zarażenie 92 osób, z których zmarło 75. To wynik zdecydowanie niższy niż w roku 1831 – 2622 ofiary, czy 1851 – 2544 zmarłych. Tym razem władze miejskie stanęły na wysokości zadania, niestety, o czym wcześniej wspominałem, zachorował także pierworodny Profesora, Viggo. Udało mu się przeżyć, jednakże jego organizm był tak wycieńczony chorobą, że w marcu 1895 Viggo Zachariewicz zmarł na zapalenie płuc.

W 1894 roku córka z pierwszego małżeństwa, Anna, wyszła za mąż za adwokata Włodzimierza Godlewskiego. Anna Godlewska to córka, która cudem przeżyła po fatalnym w skutkach porodzie swojej mamy. Jeśli spojrzymy na drzewo gene-

alogiczne, stwierdzimy, jak wspaniale się stało, że udało się wówczas dziewczynkę uratować. Anna żyła 87 lat, wraz z mężem wychowali trzech wspaniałych synów. Szczególnie jeden z nich – Julian Godlewski – przysłużył się Polsce, o mało nie został też współwłaścicielem potentata światowego Thyssen Krupp, ale to zupełnie inna historia. Po dziś dzień żyje kilkadziesiąt osób, potomków Anny i Włodzimierza. Znajdziemy wśród nich nazwiska Estreicher, Romanov, Biliński, Smoliński, Gromnicki... W 1896 roku żeni się drugi syn – Alfred. Jego wybranką zostaje Julia Marta Amme z Hamburga. Alfred to wspaniały późniejszy architekt, który talentem dorównał ojcu, choć wyraźnie się od niego odcinał. Profesor nie „skalał się” projektowaniem kamienic czynszowych, formy, której serdecznie nie lubił – Alfred chętnie to robił. Alfred po śmierci Juliana przeszedł pod opiekę zawodową do wieloletniego wspólnika Profesora – Jana Lewińskiego. Projektowanie, jak i czasy się zmieniły, między innymi zaczęto używać wówczas całkiem nowego materiału, jakim był żelbeton, a firma „Alfred Zachariewicz i Józef Sosnowski” miała wyłączność na używanie tego materiału we Lwowie. Przedsiębiorstwo stawiało postument pod pomnikiem lwowskiego Mickiewicza, jak również konstrukcję pod tamtejszym dworcem, wybudowało w Polsce wiele mostów. Niektórzy lwowscy przewodnicy twierdzą wręcz, że Lwów można podzielić na ten przed i po Zachariewiczach... Alfred mimo ogromnego sukcesu zawodowego do końca życia pozostawał pod silnym wpływem świętej pamięci ojca. Z przekazów rodzinnych wiem, że każdego roku w wigilię siadał w ojcowskim fotelu i godzinami bez słowa wpatrywał się w portret Juliana. Z ciekawostek należy przytoczyć opowieść, jak niezależność finansowa uchroniła Alfreda przed śmiercią. Rok 1917 zastał go w Rosji, gdzie, jak wiemy, rozpoczęła się rewolucja. Życie Alfreda było zagrożone, ostatecznie był przedstawicielem społecznej klasy, której rewolucjoniści serdecznie nienawdzili. Chciał koniecznie wrócić do Lwowa, w związku z tym wynajęto cały wagon w jednym z pociągów, oklejono go informacjami mówiącymi o tym, że w środku znajduje się chory na trąd pasażer. Alfred szczęśliwie dotarł do Lwowa, udało mu się też przeżyć wojnę. Zmarł równo po



Ulica Zachariewicza we Lwowie

100 latach od urodzin swego ojca, w 1937 roku, niestety z powodu braku poważnej pracy naukowej dotyczącej tych wspaniałych dwóch architektów panowie są czasem myleni lub też podciąga się ich dorobek pod jedną osobę. Druga żona, a moja prababcia, zmarła w roku 1922, natomiast jeśli chodzi o dzieci z drugiego małżeństwa, to Helena urodzona w 1879 zmarła bezdzietnie w 1929, natomiast najmłodszy syn, a mój dziadek Julian Edwin Zachariewicz, urodzony w 1883 roku, został w 1939 aresztowany przez Niemców w Pelplinie i słuch po nim zaginął. Stosunkowo niedawno zainteresował się jego historią krakowski profesor Paweł Polak, a efekt Jego poszukiwań można znaleźć tutaj: https://www.researchgate.net/publication/310744299_Julian_Edwin_Zachariewicz-filozoficzne_sciezki_galicyjskiego_intelektualisty.

Wraz z końcem 1898 roku na Politechnice obchodzono trójjubileusz profesorów Leonarda Marconiego, Juliana Niedźwieckiego oraz Juliana Zachariewicza. *Kto wówczas widział go pełnego fantazji i życia, z rozpodzionym obliczem i którego błyszczała energia zapowiedzi do dalszej zawodowo-obywatelskiej pracy, ten nie mógł przypuścić, aby niezgłębione wyroki Opatrzności nagłym swym ciosem przeciąć miały twórczą przędzę tego zasłużonego żywota – wydzierając z grona rodziny tak ukochanego męża i rodzica, odbierając Polskiej Szkole Politechnicznej genialnego Profesora i społeczeństwu Wielkiego Obywatela* – to część mowy pogrzebowej. W nekrologu przeczytała także można było: ... *Kto nie znał Zachariewicza we Lwowie z Jego wszechstronnej obywatelskiej działalności złączonej z po-*



Kościół św. Jana

stępowym rozwojem miasta od lat kilkadziesiąt, w którym zakątku kraju całego posłannictwo Zachariewicza nie zaznaczyło się w dodatni sposób, kto poza granicami kraju, szerszym poglądem na postęp architektury budownictwa i przemysłu artystycznego w drugiej połowie bieżącego stulecia zajmujący się, nie znał Zachariewicza jako Profesora Architektury na jedynej polskiej Politechnice (...) Jakim był Zachariewicz Profesorem, Architektem i Obywatелеm świadczą szeregi Jego prac w dziedzinie szkolnictwa, architektury, przemysłu artystycznego i ceramicznego zainicjowanych i przeprowadzonych, dowodzi tego nie mniej niezmordowana – stała, tyloletnia, a wydatna praca jego, jako radnego stolicy i kraju, konserwatora zabytków sztuki, organizatora i dotychczasowego przewodniczącego Muzeum Przemysłowego Miejskiego, gotowego i czynnego a poświęcenia pełnego członka tyłu Towarzystw i Komisji. Jak wysoko ceniono Zachariewicza wiedzę zawodową na katedrze budownictwa w Politechnice naszej, niech świadczy następujący szczegół: Oto znany i ceniony architekt i budowniczy – profesor Doderer, jak i dziekan Wydziału Budownictwa na Wiedeńskiej Politechnice w roku 1880 rzekł do nowo zapisującego się Polaka: dlaczego przychodzisz z Krakowa do Wiednia, a nie do Lwowa? tam masz doskonałego architekta Zachariewicza jako profesora! Skutek był taki, że krakowianin tego samego roku pojechał na studia do Lwowa. Tak oceniali Zachariewicza... obcy.

Profesor Julian Oktawian z Lwigradu Zachariewicz zmarł w wieku 61 lat 27 grudnia 1898 roku, spoczął na Cmentarzu Łyczakowskim. Zmarł jako człowiek, o którym krążyła

opinia, że jednoosobowo zastępował całe instytucje. Po kilku tygodniach obowiązki Profesora na uczelni objął jego uczeń – Tadeusz Obmiński.

Wydaje się, że całkowite zapomnienie o Julianie Oktawianie Zachariewiczu jest brakiem dbałości o naszą historię. Ostatecznie całe pokolenia późniejszych inżynierów i architektów miały doskonały wzorzec w postaci jego prac, a także studentów, którzy wyszli spod jego ręki i swego mistrza tak uwielbiali. Oprócz braku jakiegokolwiek publikacji nie ma choćby skweru jego imienia w Polsce. We Lwowie jest ulica Zachariewicza, choć w innym miejscu niż była przed wojną. Tam pamięta się o lwowskim mistrzu, organizuje wystawy i coraz częściej efektem braku naszego zainteresowania jest swego rodzaju „przywłaszczanie” sobie jego postaci. Niedawno, bo w 2017 roku podczas obchodów 180 rocznicy urodzin, ukazał się artykuł *Julian Zachariewicz, nasz halicki bohater*. Nie pozwólmy na to! Zachariewicz to Polak i patriota, o czym świadczy przedstawiona wyżej krótka biografia, napisana według obecnie posiadanej wiedzy przez jego prawnika.

Dziękuję Pani Elżbiecie Gromnickiej z Warszawy za udostępnienie materiałów zebranych przez Krystynę Jurasz-Dąbmską.

*Sławomir Zachariewicz
Kraków, marzec 2019*

Sławomir Zachariewicz, syn Andrzeja i Haliny z d. Rudowskiej, urodził się 26 lutego 1975 r. w Krakowie. W prostej linii prawnuk Juliana Oktawiana Zachariewicza, znakomitego polskiego profesora architektury. Uczył się w krakowskich szkołach muzycznych, w klasie fortepianu w szkole podstawowej oraz organów w szkole średniej i na studiach. Od ponad dwudziestu lat związany zawodowo z polską firmą branży farmaceutycznej, po dwóch dekadach wrócił jednak hobbistycznie do muzyki i komponuje utwory na fortepian. Pierwsze efekty tych prób można znaleźć na stronie zachariewicz.com. W 2014 roku wybrał się po raz pierwszy do Lwowa, aby zgłębić informacje o swoich przodkach. Efektem jest artykuł wydany w „Kurierze Galicyjskim” pt. *Okiem wnuka*. W styczniu 2018 odbył się jego wykład na Uniwersytecie Trzeciego Wieku pt. *Twórczość Juliana Zachariewicza*, który rok później został przez niego spisany i nosi tytuł *Julian Oktawian Zachariewicz, zapomniany ojciec polskiej architektury*. W 2009 roku z żoną Agatą oraz córką Darią osiedlił się w podkrakowskich Bibicach.

Drugie życie ze sztuką

Ze Stefanią Łabaziewicz rozmawia Barbara Ołasińska

Spotkałam Panią na promocji tomiku poezji Stanisławy Nowosad w Galerii „Własna Strzecha” przy ul. Rylejewa 9 (d. Badenich) we Lwowie. Prowadziła Pani wówczas tę imprezę. Proszę powiedzieć kilka zdań o sobie...

Urodziłam się 29 grudnia 1935 roku we Lwowie. Podczas okupacji niemieckiej pierwszą i drugą klasę ukończyłam w szkole żeńskiej im. Tadeusza Kościuszki przy ul. Zamkniętej, a potem, od 3 klasy, uczęszczałam do Szkoły Średniej nr 30 przy ul. Krasickich (ob. Ohijenki). Tutaj zdałam maturę i po zdaniu egzaminów wstępnych zaczęłam studia na Uniwersytecie Lwowskim na Wydziale Chemii. Po ukończeniu studiów rozpoczęłam pracę w fabryce lamp oscyloskopowych, gdzie pracowałam do emerytury.

Przejdźmy do pasji artystycznych, które realizuje Pani w Szkole Artystycznej „Wrzos”.

Młodzi artyści polskiego pochodzenia chcieli zrzeszyć się we własnym związku, zjednoczyć się pod wspólnym dachem. Dzięki pomocy stowarzyszenia „Pomoc Polakom na Wschodzie”, a w szczególności Rafałowi Dzieciotowskiemu, a także dzięki zaangażowaniu się lwowiaków Mieczysława Baranowskiego i Bożeny Rafalskiej artyści uzyskali lokal na swoją działalność. Lokalem tym został strych w starej lwowskiej kamienicy, pięknie zaadoptowany na pracownię i galerię wystawową.

Kamienica przy ul. Rylejewa 9 (d. Badenich) została zbudowana w latach 1896–1897 przez architektów S. Chołoniewskiego i W. Godowskiego, którzy byli także jej właścicielami. A więc genius loci!

Można tak powiedzieć. Tutaj powołano na podstawie statutu Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych 20 kwietnia 2002 roku Lwowskie Towarzystwo Sztuk Pięknych „Własna Strzecha” i zarejestrowano je 15 maja 2002 roku. Prezesem Towarzystwa został prof. Lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Mieczysław Maławski. Towarzystwo jest organizacją społeczną, niezależną od partii politycznych i nie czerpie zysku ze swojej działalności.



Kiedy Towarzystwo rozpoczęło swoją działalność?

Naszą działalność rozpoczęliśmy właściwie błyskawicznie. Pierwszą wystawę zorganizowaliśmy 8 września 2002 roku. Była to wystawa fotografii o. Piotra Cholewki pt. *Piękno zbawi świat*. Ojciec Piotr Cholewka na stałe mieszka we Francji, jest polskim benedyktynem. Druga wystawa, zbiorowa, miała miejsce z początkiem 2003 roku i prezentowała w Drohiczynie malarstwo i grafikę członków Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych (LTPSP). Dzięki staraniom dr Zofii Iwanickiej, dyrektor Mokotowskiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku, tu także odbywały się plenery lwowskich artystów i tu powstał zamysł powołania Szkoły Plastycznej we Lwowie. 26 października 2003 roku powstała Szkoła Plastyczna „Wrzos”, pod patronatem LTPSP i prof. Mieczysława Maławskiego, a prof. Irena Strliciw z Lwowskiej Akademii Sztuk Pięknych rozpoczęła wykłady – bezinteresownie – dla „studentów-amatorów” skupionych w SP „Wrzos”. Pani Profesor do dzisiaj jest dobrym duchem naszej szkoły i nieprzerwanie prowadzi wykłady dla już dużej grupy studentów. Stara się wydobyć z każdego z nas indywidualne predyspozycje malarskie, aby każdy z nas odkrył w sobie swój własny styl. Uczymy się różnych technik malarstwa, równocześnie zachowując indywidualny przekaz wyrazu

artystycznego, indywidualny sposób myślenia. Pierwszym starostą i wspaniałym organizatorem była Maria Grzegocka.

Dlaczego wybrano nazwę „Wrzos” dla szkoły?

To dobra nazwa. Wrzos ma delikatne kolory, ale ta piękna roślina jest bardzo mocna. Podobna do wytrwałości człowieka, który mimo trudności i przeciwności losu idzie przez życie, nie pozwalając na zniszczenie radości życia i wrażliwości na otaczające piękno. Jesteśmy wrażliwi na urodę i piękno otaczającego świata i mimo codziennych obowiązków *czule opiekujemy się tym tajemniczym ptakiem, który żyje w naszych sercach* – jak to pięknie kiedyś określiła Bożena Rafalska. Prawie wszyscy jesteśmy emerytami, ale tu odzyskujemy radość, zostawiamy swoje problemy za drzwiami, jesteśmy serdeczni i życzliwi, pełni dobrych intencji i ciekawości świata.

Jak dużo członków liczy Szkoła Plastyczna „Wrzos”?

Szkoła „Wrzos” liczy od początku swego istnienia ok. 20 osób. Są wśród nas inżynierowie, ja ukończyłam chemię na Uniwersytecie Lwowskim, są lekarze, jest pani wizażystka, pani konstruktor, są zwykli ludzie z pasją tworzenia. Najstarsze z nas to ja oraz panie Anna Szewczenko i Danuta Hnatyk, a najmłodsza pani Halina Wieliczko. Wszystkich łączy pasja malowania.

Proszę przybliżyć nam działalność artystyczną szkoły.

Członkowie Szkoły Plastycznej „Wrzos” uczestniczą w wykładach z historii sztuki, zapoznają się z pracami wybitnych polskich artystów malarzy, a także uczestniczą w plenerach malarskich. Sprawdzianem naszego rozwoju są wystawy. Pierwsza nasza zbiorowa wystawa prezentowana była na początku 2003 r. i obejmowała prace członków Lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych pod znamienym tytułem *Jesteśmy, aby zaznaczyć swoje miejsce na mapie Lwowa*. Wystawa ta pokazywana była także w Krakowie, w Domu Polonii, pod patronatem Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”. Kolejna wystawa w 2004 roku prezentowała prace p. Marii Grzegockiej i p. Ewy Tajner. Prace rozwieszono były na

ścianach w naszej siedzibie i wykonane były techniką akwarelową. Wystawę zaszczycił swoją obecnością ks. biskup Leon Mały, a wystawie patronował Walery Bortiakow. Bardzo lubimy przygotowania do wystawy, jest to swoisty „adwent” naszych nadziei. Po wystawie przychodzi czas refleksji i nowych postanowień.

W 2005 roku w grudniu została otwarta wystawa Lidy Bagrij, osoby o wielkim talencie, która spełniła swoje młodzieńcze marzenia w naszej szkole. Wystawa obejmowała 32 prace o różnorodnej tematyce i technice wykonania.

Kolejna wystawa, w 2006 r., była poświęcona w całości pełnym ciepła pracom pani Danuty Hnatyk. Pani Danuta jest lekarzem, ale na emeryturze mogła poświęcić się swojemu hobby. Kolejnym wernisażem była wystawa wilnianki Jadwigi Besarabowicz.

Wystawy naszych prac odbyły też w Polsce, np. w Warszawie czy Przemysłu, a także na Ukrainie: w Jazłowcu, Polanie, gdzie zapraszani jesteśmy do posiadłości prof. Ireny Strilciw w Skolem, Krzemieńcu, Boleszasczycach. W 2008 roku mieliśmy dużą wystawę w Krakowie, sfinansowaną przez kancelarię Senatu RP oraz Gminę Miejską Krakowa. Wystawa miała miejsce w salach użytkowanych przez Krakowski Oddział „Wspólnoty Polskiej”. Podczas tych wystaw poznawaliśmy ciekawych ludzi, którzy z zainteresowaniem słuchali opowieści o naszych pasjach, o naszej Szkole Plastycznej, o naszych dokonaniach.

W wydanej *Kronice Szkoły Plastycznej „Wrzos”* z okazji jubileuszu 10-lecia działalności, przeczytałam o ciekawej wystawie rodzinnej pań Grzegockich.

A tak, to była wspaniała wystawa pokoleniowa rodziny Grzegockich. Seniorka rodu, pani Maria, jest malarzem-amatorem, Krystyna jest profesjonalną artystką-malarzem, Irena jest studentką Kolegium Plastycznego im. Trusza, a Mirosława uczęszcza do miejscskiej szkoły plastycznej. Tę ciekawą wystawę obejrzeli dyrektor Polskiego Teatru, Zbigniew Chrzanowski, H. Ośmiak – docent Politechniki Lwowskiej, dziennikarze Radia Lwów i księża z kościoła św. Marii Magdaleny.

Które wystawy utkwiły Pani najbardziej w pamięci?

Dla uczczenia Konstytucji 3 Maja zorganizowałyśmy wystawę pt. *Mini Art. Wystawione prace prezentowały różne techniki malarskie w myśl zasady „małe jest piękne”*. Ponadto w końcu 2017 r. odbyła się poplenerowa wystawa uczestników plenerów w Grodnie, Lublinie i Mrągowie. Plenery objął patronatem konsul generalny RP we Lwowie, a wsparcie finansowe zapewniła Federacja „Pomoc Polakom na Wschodzie”. Wiele zawdzięczamy też p. dr Zofii Iwanickiej z Warszawy. Piękna była też wystawa *Kwiaty dla Matki Bożej* w sali udekorowanej kwiatami ogrodowymi i polnymi wg aranżacji Haliny Makowskiej. W 2010 r. miała miejsce kolejna rodzinna wystawa, tym razem rodziny Tajnerów: Ewy, Adama, ich córki Marty oraz Danuty Bilik z domu Tajner, pt. *Cztery pory roku*.

Ciekawa była też wystawa namalowanych świętych, patronów członków naszej szkoły. Wystawę tę pt. *Stale obecni w naszym życiu* obejrzał także konsul RP we Lwowie, Maciej Obcowski. Z kolei nasz kolega Jerzy Komorowski, z zawodu inżynier elektronik, miał indywidualną wystawę pt. *Ołówkiem i pędzlem*. Jego obrazy to w większości portrety kobiet wykonane czarnym ołówkiem lub farbą olejną, a także zwierzęta, sceny rodzajowe.

Jakie inne dokonania są związane z działalnością szkoły?

Zaprosiliśmy Annę Dymną, która przy okazji wystawy malarskiej Haliny Makowskiej pt. *Poezja ks. Twardowskiego w pracach Haliny Makowskiej* pięknie recytowała wiersze księdza-poety przy podkładzie muzycznym. W tym spektaklu uczestniczyli przedstawiciele polskich organizacji na Ukrainie oraz konsul generalny RP we Lwowie, Jarosław Drozd.

Pod naszą „Strzechą” odbył się wernisaż książki pani Stanisławy Nowosad, znanej lwowskiej poetki. Wiersze recytowali słuchacze Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Marian Orlikowski, konsul ds. kultury, wręczył poetce w dowód uznania i sympatii piękny bukiet kwiatów.

Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych prowadzi także prace wolontariackie. Wykonaliśmy dekoracje do szopki bożonarodzeniowej i Grobu Bożego w kościele w Kulirowie. Podarowaliśmy nasze obrazy na

chorągwie do kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie. Wykonaliśmy także renowację szopki bożonarodzeniowej w katedrze łacińskiej we Lwowie.

Z naszej inicjatywy uformowała się grupa młodzieży szkolnej w wieku 8–15 lat. Młodzież ta, stowarzyszona w grupie „Kolor radości”, pochodzi z polskich szkół i polskich rodzin, rozwija swe talenty pod profesjonalnym kierownictwem artystów z klubu „Skrzydła”. Z kolei klub „Skrzydła”, założony w 2006 roku, integruje młodych artystów, absolwentów polskich i ukraińskich wyższych uczelni artystycznych, z doświadczonymi artystami zarówno podczas wspólnych plenerów malarskich, jak i w profesjonalnych pracowniach malarskich. Klub liczy 25 członków, młodzieży polskiego pochodzenia, a jego kierownikiem jest prof. Mieczysław Maławski.

Dziękuję serdecznie za rozmowę.

Stefania Łabaziewicz, urodzona 29 grudnia 1935 r. we Lwowie, członek Towarzystwa Kultury Polskiej Ziemi Lwowskiej, Zarządu Uniwersytetu Trzeciego Wieku, chóru „Lutnia”, Szkoły Plastycznej „Wrzos”.

Marta Tajner

Co po nas zostanie

pióra ze skrzydeł –
które pomagały nam
wzbic się ponad przeciętność
uśmiech –
powracający jak
niespełnione dobro
kilka liści –
zapisanych wspomnieniami
minionych dni
wszystkie słowa –
pisane przez nasze
pragnienia i gesty
czy wreszcie –
odcisk buta Tego
który nas stworzył
żebyśmy śladem zostali
jak nadzieja –
która wiecznie żyje.

XXXIII Tarnopolski Zjazd Kresowian

Mimo że od 2018 r. taka jest oficjalna nazwa naszych zjazdów, to w dalszym ciągu jest to jednak zjazd tarnopolan, czyli głównie ludzi urodzonych lub mających swoje korzenie na Ziemi Tarnopolskiej.

Tegoroczne spotkanie miało miejsce w dniach 10–13 czerwca na Górze św. Anny. Do tego uroczego zakątka Opolszczyzny zjechali się tarnopolanie ze wszystkich stron Polski, a było ich ponad sześćdziesięciu. Najwięcej ze Śląska Opolskiego, co oczywiście zrozumiałe, jako że dla tarnopolan to był główny kierunek powojennej ekspatriacji. Poza tym miejsce spotkania było dla nich nieodległe, a z wiekiem przecież trudno się przemieszczać na duże dystanse. Głównym organizatorem Zjazdu była Jolanta Kołodziejska z Opola. Wywiązała się z tego trudnego obowiązku znakomicie, za co na koniec spotkania dostała podziękowania i gromkie brawa.

Nasz pobyt w Domu Pielgrzyma rozpoczął się od prelekcji Janusza Ireneusza Wójcika z Urzędu Marszałkowskiego w Opolu. Była to prezentacja filmu o Górze św. Anny, a spora część tego filmu była poświęcona wizycie Ojca św. Jana Pawła II w Sanktuarium w roku 1983. Następnie mogliśmy skonfrontować to, czego dowiedzieliśmy się z filmu, z rzeczywistością. Zwiedziliśmy całą miejscowość, główny nacisk kładąc na Bazylikę św. Anny Samotrzeciej, klasztor oo. Franciszkanów, kaplice kalwaryjskie, z których kilkadziesiąt pierwszych pochodzi z początku XVIII w.

Obecnie jest ich ok. 40. O samej figurce św. Anny z ołtarza głównego nie wiemy nic pewnego. Historycy twierdzą, że ze względu na styl, kształt czy pozostałe cechy można określić czas jej powstania na II poł. XV w. Ciekawe są sukienki okrywające wszystkie trzy postacie (św. Anna, Maryja i Pan Jezus). Sukienki te dobierane są kolorystycznie do odpowiedniego okresu liturgicznego, a wszystkie można zobaczyć w muzeum klasztornym.

Na franciszkańskim cmentarzu na Górze św. Anny pochowany jest biskup opolski Antoni Adamiuk, syn Ziemi Tarnopolskiej – bo chociaż urodził się w roku 1913 w Pensylwanii (USA), to po powrocie rodziny do Maksymówki koło Zbaraża w latach 1925–1933 uczęszczał do II Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Tarnopolu, a po maturze studiował na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Jana Kazimie-



rza we Lwowie. Starsi bywalcy tarnopolskich zjazdów pamiętają Biskupa z jego regularnych przyjazdów na zjazdy w Ustroniu. Biskup Adamiuk zmarł w 2000 r.

Góra św. Anny była też miejscem zaciętych walk powstańców śląskich z Freikorps w czasie III powstania śląskiego w maju 1921 r. Po klęsce powstania zwycięzcy Niemcy wybudowali na miejscu dawnego kamieniołomu amfiteatr i mauzoleum poświęcone Niemcom poległym w czasie tych walk. Mauzoleum, postrzegane negatywnie przez Armię Czerwoną i nowe władze pol-



skie, zostało wysadzone w powietrze, a na jego miejscu w 1946 r. zaczęto budowę nowego pomnika (wg projektu Xawerego Dunikowskiego), poświęconego powstańcom śląskim. Z powodów finansowych i politycznych budowa trwała siedem lat. W 1955 r. uroczystie odsłonięto pomnik Czynu Powstańczego. W 1988 r. utworzono w okolicach Góry św. Anny Park Krajobrazowy. Spacerując więc po tym terenie tarnopolanie mogli nie tylko przybliżyć sobie historię tego regionu, ale też podziwiać jego najcenniejsze walory przyrodnicze.

Jak co roku, ważnym punktem naszego zjazdu była msza św., którą w bazylice odprawił ks. Andrzej z Tarnopola. Msza jest odprawiana w intencji tarnopolan zmarłych od czasu poprzedniego zjazdu. I co roku jest ich coraz więcej!

Kolejny dzień spędziliśmy w Opolu, zwiedzając Muzeum Polskiej Piosenki, otwarte w 2007 r. Jest ono bardzo ciekawe, ale trzeba mieć dużo więcej czasu, żeby wysłuchać/obejrzeć archiwalne nagrania. Pobieźnie zobaczyliśmy niektóre zabytki Opolu, z których najciekawsza chyba była kaplica Piastów Śląskich w kościele Franciszkanów. Po obiadowym odpoczynku (dzień był upalny) w restauracji Radiowej udaliśmy się do Urzędu Marszałkowskiego Województwa Opolskiego, gdzie w Sali Orła Białego odbyły się bardziej oficjalne uroczystości. Było i ludowo, i po lwowsku. Duże wrażenie zrobił na nas męski chór Metronom działający przy 10. Opolskiej Brygadzie Logistycznej,

który uraczył nas znanymi lwowskimi piosenkami. Na naszym spotkaniu nie mogło zabraknąć opolanina, który tak wiele robi dla spraw kresowych. Profesor Stanisław Sławomir Nicieja uraczył nas barwną opowieścią o Kresowej Atlantydzie ilustrowanej swoim nowym filmem zatytułowanym *Trzy mosty* (Zaleszczyki, Śniatyn i Kutry). Przewodnią myślą tego filmu jest tragedia września 1939 – opowieść o losach ludzi polskiej polityki, kultury i sztuki, a poprzez ich losy pokazanie losów polskiego państwa i narodu.

Podczas tego spotkania nie poprzestaliśmy na Kresach Południowo-Wschodnich, ale pojechaliśmy też do Wilna. A to za sprawą pana J.I. Wójcika z Urzędu Marszałkowskiego, który pokazał nam *Wilno – miasto pod chmurami*. Dla piszącej te słowa było to utrwaleniem Wilna, w którym byliśmy dwa tygodnie wcześniej, ale prawdę mówiąc podczas tej wycieczki w ogóle nie zwracaliśmy uwagi na chmury. A te „mickiewiczowskie” chmury jakże podkreślały piękno miasta!

Ostatni wieczór to było wspólne śpiewanie przy wydatnej pomocy Adaśka Żurawskiego i Jędrusia Jaworskiego z „Tyliгентnych Batiarów” – już nie lwowskich, ale bytomskich, ale jak zawsze pełnych humoru i kresowego ducha.

Następnego dnia już się żegnaliśmy i pełni wrażeń wracaliśmy do swoich miejsc, umocnieni „pokarmem” naszej tarnopolskiej diaspory. Do zobaczenia za rok. Najprawdopodobniej też na Opolszczyźnie, ale tym razem chyba w Głucholazach.

Wspomnienie o śp. Barbarze Szumskiej

(23 marca 1939 Lwów – 12 czerwca 2019 Kraków)

Dla nas – lwowiaków – Basia, lwowianka z urodzenia, krakowianka z wyboru, choć do końca swoich dni nie pogodziła się z utratą Lwowa. Była dobra, mądra, szlachetna, wierna w przyjaźni, pracowita, odpowiedzialna, obowiązkowa, staranna, z dużym poczuciem humoru. Kochała rodzinę i przyjaciół. Zawsze służyła radą i pomocą. Trochę wędrowała. Szkołę średnią ukończyła i maturę zdała w Bytomiu, potem studiowała łączność na Politechnice Wrocławskiej.

Zawsze twierdziła, że nie powinna była zostać inżynierem elektronikiem, bo tak naprawdę interesowali ją ludzie i nauki o społeczeństwie. W późniejszej pracy zawodowej, już w Krakowie, przeważały jednak nauki techniczne – najpierw Polon, a potem Akademia Górniczo-Hutnicza.

Działała społecznie w wielu gremiach – m.in. w PTTK. Nie brylowała w towarzystwach, nie lubiła być w pierwszym szeregu; wolała być niezauważana, ale na szczęście inni ją zauważali. Była lubiana i szanowana; dowody uznania w postaci dyplomów, podziękowań, listów pochwalnych otrzymywała często. Ludzie, z którymi się stykała, bardzo ją cenili.

Miała swoje pasje, a wśród nich – samochody. Była fantastycznym kierowcą. Najpierw motocyklem, jak wspominała, przemierzała trasę Wrocław – Kraków, gdzie mieszkali rodzice, a później już za kółkiem samochodów – trabanta czy „malucha” – czuła się znakomicie. Prowadziła auto, dopóki choroba nie zabrała Jej tej największej dla Niej frajdy.

Kochała muzykę, góry i podróże, także sport – pasjonowały ją mecze siatkówki, ale również sporty zimowe, zwłaszcza skoki i biegi. A podróże? Przede wszystkim Europa, a w niej – kraje skandynawskie, z ulubioną Danią, kraje Beneluksu, również Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia. Była na Litwie i Łotwie, w Kazachstanie i Gruzji. A jeśli o podróżyż mowa, to warto wspomnieć, że słynnym „maluchem” przejechała Kaukaz i była za kołem podbiegunowym! Jak trzeba było, to wykorzystując swoje techniczne



umiejętności, potrafiła naprawić aparat zapłonowy w małym fiacie i dojechać ponad 300 km do najbliższego warsztatu. Umiała spakować walizkę na dłuższy pobyt, tak że nawet komunistyczny celnik nie odważył się jej przewracać do góry nogami, mówiąc: „Jest tak pięknie spakowana, że nie będę w niej grzebał”! Walizka musia-

ła zrobić na nim piorunujące wrażenie...

Ostatnich dwadzieścia parę lat związana była ze środowiskiem krakowskich lwowian i kresowian, oddana pracy społecznej w Towarzystwie Miłośników Lwowa, a także w Polskim Towarzystwie Gimnastycznym „Sokół – Macierz”. Przez wiele lat była członkiem Zarządu Oddziału Krakowskiego, działała w zespole redakcyjnym kwartalnika „Cracovia–Leopolis”, zajmowała się dystrybucją wydawnictw na miejscu, wysyłała do lwowian i kresowian w Polsce i za granicę; była inicjatorką powstania strony internetowej kwartalnika pilnując, aby wszystko co ważne na niej się znalazło. Kiedy nastąpiły czasy maili, prowadziła korespondencję dotyczącą działalności zarówno Towarzystwa, jak i redakcji „CL”. Była bardzo zaangażowana w pomoc Polakom na wschodzie, łącznie z pomocą osobom chorym, które nie miały dostępu do niezbędnych leków.

Jej pasje, zainteresowania, wyjazdy do Lwowa przerwała choroba i mimo że była dzielna, potrafiła walczyć z przeciwnościami losu, on Jej nie oszczędził. Niestety nie zdążyła osobiście przyjąć złotej odznaki Zasłużonego Działacza Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, przyznanej Jej z okazji jubileuszu trzydziestolecia Towarzystwa. Podczas uroczystości pogrzebowej z rąk prezesa Stanisława Czernego odebrał ją brat Basi, Jan Szumski.

Ponieśliśmy ogromną stratę, jesteśmy smutni, ale pozostają w nas wspomnienia, dobre myśli, niezapomniane obrazy i świadomość, że mieliśmy szczęście poznać tak wartościowego i niezwykłego Człowieka.

Zarząd i Przyjaciele
z Towarzystwa Miłośników Lwowa
i Kresów Południowo-Wschodnich
oraz Zespołu Redakcyjnego „Cracovia–Leopolis”

I strona okładki:

Zaświecie, akwarela Maryli Wolskiej (przed 1920)



**Biblioteka
Kraków**

Wydawca:

Oddział Krakowski Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

p.o. Prezesa Zarządu:

Stanisław Czerny

Rada Programowa:

Stanisław Czerny – p.o. prezesa Krakowskiego Oddziału TMLiKPW, dr Stanisław Dziedzic – dyrektor Biblioteki Kraków, dr Karolina Grodziska – Biblioteka PAU i PAN, Adam Guyrkowich – prezes Oddziału Krakowskiego TMLiKPW, ks. prof. dr hab. Józef Wołczański – Uniwersytet Papieski Jana Pawła II, Katedra Historii XIX i XX wieku, dr Tadeusz Skoczek – dyrektor Muzeum Niepodległości w Warszawie, Janusz Paluch – kierownik Działu Animacji i Wydawnictw Biblioteki Kraków

Redakcja:

Paweł Brzegowy, Jarosław Krasnodębski (Warszawa), Anna Madej, Janusz M. Paluch (redaktor naczelny), Michał Piekarski (Warszawa), Krystyna Stafińska, Anna Stengl, Barbara Szumska, Natalia Tarkowska, Aleksandra Solarewicz (Wrocław), Marta Walczewska

Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl

oraz www.facebook.com/Kwartalnik-Cracovia-Leopolis-306168136114769/

Adres redakcji:

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl

Informacje o kwartalniku CL: cracovialeopolis@gmail.com, tel. 608 155 693

Konto bankowe Oddziału TMLiKPW w Krakowie:

53 1020 2892 0000 5002 0121 7918

Przygotowanie do druku: FALL, Kraków, tel. (12) 413 35 00, fall@fall.pl

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja nie odpowiada za opinie, stwierdzenia i reklamy, które stanowią wyraz poglądów ich autorów.

Copyright © Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

Spis treści

Janusz M. Paluch ZAMIAST SŁOWA OD REDAKCJI	Jacek Jedliński WSPOMNIENIA (FRAGMENTY)	32
Aleksandra Solarewicz GRÓB ZNALEZIONY PO 80 LATACH	Małgorzata Dziedzic W PODHORECKIM ZAMKU...	35
R O Z M O W Y Janusz M. Paluch ROZMOWA Z KASPREM PAWLIKOWSKIM	Zbigniew Wawszczak LWOWIAK Z BRYGADY SPADOCHRONWEJ SOSABOWSKIEGO	39
Paweł Brzegowy BENEDYKT DYBOWSKI JAKO SPOŁECZNIK	Antoni Wilgusiewicz SEWERYN WOLLOCH – BYTOMSKI LWOWIANIN, OCALONY Z HOLOKAUSTU	42 43
Beata Bednarz BYŁ TAKI KRAJ...	Sławomir Zachariewicz JULIAN OKTAWIAN ZACHARIEWICZ	44 50
Piotr Boroń ŚLUBY LWOWSKIE...	ROZMOWY Barbara Ołasińska ROZMOWA ZE STEFANIĄ ŁABAZIEWICZ	48 61
MUSICA LEOPOLTS Michał Piekarski POLACY JAKO SOLIŚCI WIEDŃSKIEJ HOFOPER I STAATSOPER	Anna Madej XXXIII TARNOPOLSKI ZJAZD KRESOWIAN	23 64
P R O Z A Tadeusz Olszański DORA I JAREMCZE	WSPOMNIENIE O ŚP. BARBARZE SZUMSKIEJ	25 66
P O E Z J A Karolina Grodziska O WIERSZACH HENRYKA GREBA		30